



## Drodzy Czytelnicy!

Powybiorcze zmiany w powiecie nie oznaczają zmian w redagowaniu biuletynu „Powiat Słupski”. Pismo nasze ukazuje się już siódmy rok i jest dobrze oceniane przez środowiska, do których jest kierowane. Przypomnę, że „Powiat” rozsyłany jest do radnych, parlamentarzystów, wszystkich sołtysów, ochotniczych straży pożarnych, szkół, domów kultury, jednostek organizacyjnych powiatu, firm biznesowych oraz wszystkich urzędów miast i gmin.

Dodatkową grupę stanowią czytelnicy „Wsi Tworzącej” (dodatku literackiego), pochodzący nie tylko z powiatu słupskiego, ale również z innych, nawet odległych zakątków kraju. Przez to biuletyn nasz, poza tym, że jest źródłem informacji o powiecie, miejscem różnych prezentacji i wymiany myśli, głównie społecznej, nawiązuje do najlepszych wzorów w pobudzaniu aktywności twórczej mieszkańców, spełnia też ogromną rolę promocyjną.

Niemal każdy kolejny numer pisma dowodzi, że powiat słupski żyje nie tyle siłą urzędniczych mądrości przekazywanych w formie podejmowanych kolejnych zarządzeń, decyzji czy uchwał, ale przede wszystkim aktywnością mieszkańców, siłą ich dokonań, życiowych doświadczeń, przemyśleń opisywanych w różnych artykułach. Ta społeczna, dzisiaj powiedzielibyśmy obywatelska aktywność, stanowi najlepsze drożdże powiatu, który musi się zmieniać, rozwijać i wpisywać w samorządową polską rzeczywistość.

Będziemy utrzymywać społeczny charakter pisma. Zmieniliśmy już sposób prezentacji tekstów i ich ilustracji. Wszystko to po to, by „Powiat Słupski” był atrakcyjniejszy i ciekawszy. By jeszcze bardziej zachęcał do lektury, a także do sięgania po długopis i dzielenia się sprawami, które nas dotyczą. Nasze łamy są otwarte dla wszystkich spraw i problemów. Gorąco zachęcam do takiej aktywności.

**Sławomir Ziemiłowicz**  
**Starosta Słupski**

### „POWIAT SŁUPSKI” - Biuletyn Informacyjny

Wydawca: Starostwo Powiatowe w Słupsku. Redaguje zespół: **Zbigniew Babiarz-Zych** (przewodniczący), **Leszek Kreft** (z-ca przewodniczącego), **Jolanta Sienkiewicz**, **Jan Fajfara**. Adres redakcji: Wydział Rozwoju, Promocji Powiatu i Zdrowia, Starostwo Powiatowe, 76-200 Słupsk, ul. Szarych Szeregów 14, tel. 059 842 54 17, fax. 059 842 71 11; e-mail: [zych@powiat.slupsk.pl](mailto:zych@powiat.slupsk.pl); Skład komputerowy i łamanie: **Artur Wróblewski**. Zdjęcia: **Jan Maziejuk**. Druk: Zakład Poligraficzny „Grawipol”, 76-200 Słupsk, ul. Poznańska 42. Na okładce: Kolędnicy ze Strzelina; Pensjonat „Dolina Charlotty” w Zemłowie.

Biuletyn rozsyłany jest do radnych, parlamentarzystów, sołtysów, jednostek OSP, szkół, domów kultury, jednostek organizacyjnych powiatu, firm biznesowych oraz urzędów miast i gmin. Zamieszczany jest również na stronie internetowej: [www.powiat.slupsk.pl](http://www.powiat.slupsk.pl)

Numer zamknięto 22 grudnia 2006 r.

## W numerze:

Sławomir Ziemiłowicz nowym starostą słupskim	4
Zawsze pozostaje niedosyt	5
Skład Zarządu	6
Skład Rady Powiatu	6
Ryszard Stus – nowy przewodniczący Rady Powiatu Słupskiego	7
Zstąpmy do głębi i pokochajmy swoją ojczyznę	9
Tylko niezbędne decyzje	10
Teraz praca na zastępstwo	10
Jak sięgać po pieniądze	11
Jak charty na hazardowym ringu	13
Historia dla wszystkich	14
Kaszubskie dęby i czerwone wino	15
Krajobraz po bitwie	16
Restytucja łososia	18
Jaka ryba w wodzie...	19
Zjazd pod aniołami	20
Uroczystości u sąsiadów	21
Zobaczyłem, co to jest piękno	22
Kolędnicy z Lubuczewa	23
W kręgu sztuki ludowej i amatorskiej Pomorza	25
Pod choinką z samowarem	27
Świąteczne przesłanie o duszpasterzu – legendzie	28
Polskie ślady w Brukseli	30
LUBUŃ - to nie Poznań ani Lwów	32
Zmiany w przepisach skarbowych obciążające inwestora	36
Tworzyła się nowa społeczność	37
Jubileusz Kresowiaków	39
Kościół Zamkowy św. Jacka	41

*Miłości i ciepła rodzinnego  
w te Święta Bożonarodzeniowe  
oraz Szczęśliwego*

*Nowego Roku 2007*

życzą:

Przewodniczący  
Rady Powiatu Słupskiego  
Ryszard Stus

Starosta Słupski  
Sławomir Ziemiłowicz

# Sławomir Ziemi *nowym starostą*

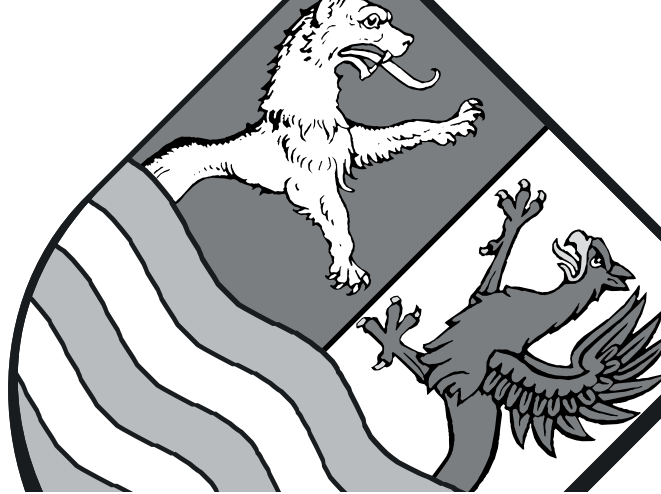


*Chciałbym, aby początek kadencji był dla wszystkich potwierdzeniem, że to, co nowe, nie musi być krytyczne wobec tego, co było, ale może wnieść lepszą jakość w funkcjonowanie naszego samorządu.*

**Sławomir Ziemi** – nowy starosta słupski: - Nie ukrywam tremy i wzruszenia z faktu wybrania mnie starostą. To dla mnie wielkie wyzwanie. To mój wielki obowiązek, który przyjąłem. Myślę, że wspólnie z Radą Powiatu, i nie tylko z Radą, z wszystkimi, którym los samorządu nie jest obcy i którzy codzienną pracą zabiegają o to, żeby ułatwić życie naszym mieszkańcom, będziemy potrafili służyć ludziom. Przed nami okres trudny, okres poważnych wyzwań i zadań. Poprzeczka w poprzedniej kadencji Rady została postawiona bardzo wysoko i zmiana, jaka ma miejsce na stanowisku starosty i w Zarządzie, na pewno będzie wymagała pokazania, że spowoduje wymierny efekt dla tych, dla których wszyscy pracujemy.

Powiat funkcjonuje dalej. Jesteśmy w trakcie procedur związanych z przekazaniem szkoły leśnej w Warcienie ministerstwu środowiska, w trakcie przygotowywania negocjacji porozumień ze związkami zawodowymi dotyczących regulaminu wynagradzania nauczycieli. Jesteśmy też w trakcie procedury uchwalania budżetu. Ustawowy termin jego przyjęcia przez Radę upływa z dniem 31 marca 2007 roku. To bardzo ważna data i wymaga ona już w tej chwili zabrania się ostro do pracy, aby wszystkie zadania i wydatki zostały dobrze zaplanowane. Jesteśmy także przed okresem programowania lat 2007 – 2013. Kierunki inwestycji, działań powiatu przez Radę i Zarząd poprzedniej kadencji zostały już nakreślone. Mamy w przygotowaniu zadania inwestycyj-

# ianowicz słupskim



ne, mamy plan dalszych inwestycji. Żeby tylko wystarczyło nam możliwości i determinacji. Myślę, że powinniśmy zrobić wszystko, aby ten plan wykonać, a być może nawet zrobić jeszcze więcej.

To, że przyszłe lata będą latami inwestowania – a mam taką nadzieję – będzie wymagało od naszego urzędu bardzo skutecznej pracy. Mam nadzieję, że będzie bardzo dużo wniosków o pozwolenie na budowę, że powstaną wreszcie pierwsze elektrownie wiatrowe w powiecie słupskim, na które czekamy. Od dawna mówimy o nich, robimy plany, ale jak na razie, jeszcze żadnej nie ma. Pozwolenia na budowę zostały już wydane. Życzę wszystkim, którzy ten kierunek inwestowania obrali, aby ich plany okazały się skuteczne, by zaowocowały bezpieczną, ekologiczną energią i przyniosły dochody do budżetów gmin.

W oświacie czekają nas nowe wyzwania związane z sytuacją demograficzną. Wiemy jak będzie kształtowała się ona w poszczególnych szkołach. Tutaj czeka nas też wiele pracy i być może trudne decyzje. O nich będziemy dyskutować na forum Rady. Myślę, że niedobrych decyzji nie podejmiemy, a i tych niepopularnych będzie jak najmniej. Domy pomocy społecznej, dzięki staraniom radnych poprzednich kadencji, osiągnęły już standardy i one stwarzać będą zapewne najmniej problemów. Mimo to ciągle trzeba im się przyglądać, bo wszystkie placówki powinny być należycie wykorzystane.

Starostwo i jednostki mu podległe są instytucjami służebnymi wobec mieszkańców. To ich cel i zadanie. Nie chcę powiedzieć, że pod tym względem jest źle, ale myślę, że działania, jakie podejmiemy dokonają pewnej zmiany na lepsze.

Jako powiat mamy możliwości również w innych branżach. Uważam, że trzeba na przykład kontynuować i wspierać wszystkie działania związane z rolnictwem, kontynuować współpracę z Izłą Rolną, organizacjami rolnymi, wykorzystać możliwości naszego urzędu do dobrych i pożytecznych dla rolników działań.

**Zdzisław Kołodziejski** – ustępujący starosta słupski: - Chciałbym podziękować wszystkim radnym obecnej i poprzedniej kadencji za atmosferę pracy i tworzenia, która dominowała na tej sali. Dziękuję panu Sławomirowi Ziemiałowiczowi za czteroletnią współpracę, którą oceniam jako dobrą.

Czy zrobiliśmy wszystko, co było możliwe dla rozwoju powiatu? Myślę, że nie. Zawsze pozostaje pewien niedosyt. Ale osiągnęliśmy sukcesy, bo przecież są nimi zmiany organizacyjne w Domu Dziecka. Właściwie można powiedzieć, że jest to już rodzinny dom dziecka – wzór dla całej Polski. Osiągnięciem jest też powołanie Młodzieżowego Ośrodka Socjoterapii w Ustce, w sytuacji, kiedy szkoły mają kłopoty wychowawcze.

Naszym osiągnięciem są przeprowadzone remonty w domach pomocy społecznej. Przygotowana jest dokumentacja techniczna na odrestaurowanie obiektu Ośrodka Szkolno – Wychowawczego w Damnicy. Myślę, że pałac, w którym ośrodek ten się znajduje jest najcenniejszym zabytkiem w powiecie słupskim.

Mamy dobrze zorganizowany urząd pracy, który pozyskał dodatkowo na fundusz pracy niemal tyle samo środków, ile przypadło mu z tzw. algorytmu. W geodezji wpro-



*Czy zrobiliśmy wszystko, co było możliwe dla rozwoju powiatu? Myślę, że nie. Zawsze pozostaje pewien niedosyt. Ale osiągnęliśmy sukcesy...*

wadzony został zintegrowany system katastralny. Powiat ma swoją ewidencję gruntów i budynków, uporządkowane księgi wieczyste, nowoczesną ewidencję podatkową. Przekazujemy dane bezpośrednio do Centralnego Ośrodka Dokumentacji Geodezyjnej i Kartograficznej w Warszawie. Na 43 powiaty w Polsce, które przystąpiły do tego projektu, piętnaście, w tym powiat słupski, realizuje te zadania systematycznie.

Nawiązaliśmy dobrą współpracę z samorządami gminnymi. Udało się nam pozyskać niemałe środki zewnętrzne z SAPARD-u, GAMBIT-u, z rozwoju regionalnego czy SPOR-u, a także od ministra finansów i ministra edukacji narodowej. Wykonaliśmy kilka znaczących remontów dróg. Niestety w tym zakresie są zdecydowanie większe potrzeby...

Oświata ma również znacznie większe potrzeby od przeznaczonych na nią środków. Jest to problem złożony. Myślę, że w tej kadencji Rada będzie musiała się z nim szczególnie zmierzyć. Wiele zmieniło się w pracy starostwa. Interesanci - mieszkańcy powiatu i osoby przyjezdne są coraz sprawniej załatwiani przez kompetentnych urzędników, traktowani z należyтым szacunkiem i zgodnie z prawem.

*Zawsze pozostaje niedosyt*

# Skład Zarządu



*Od lewej stoją: Edward Rokosz - członek Zarządu Powiatu Słupskiego; Andrzej Bury - zastępca przewodniczącego, wicestarosta słupski; Sławomir Ziemianowicz - przewodniczący Zarządu, starosta słupski; Marian Jarząbek - członek Zarządu; Ryszard Nosko - członek Zarządu*

# Skład Rady Powiatu

Ryszard Stus – *przewodniczący*

Marcin Białas – *wiceprzewodniczący*

Jacek Graczyk

Janusz Grzybowski - *nie złożył jeszcze ślubowania*

Franciszek Hofman

Leokadia Kuper

Teresa Kozdroń-Kołącka

Stanisław Jank

Marian Jarząbek

Zdzisław Kołodziejski

Ewa Lewkowicz

Jan Nosal

Ryszard Nosko

Krystyna Oczachowska

Barbara Perka

Edward Rokosz

Lidia Rynda

Zbigniew Studziński

Andrzej Wojtaszek

Barbara Zawadzka

Sławomir Ziemianowicz



# Ryszard Stus

## - przewodniczącym Rady Powiatu Słupskiego



**R**yszard Stus: - Widzę w tym jakąś prawidłowość, że w drugiej kadencji Radzie Powiatu Słupskiego przewodniczy znowu lekarz - chociaż innej specjalności. Przewodniczący poprzedniej kadencji - pan Janusz Grzybowski jest internistą, ja jestem lekarzem intensywnej terapii...

Dziękuję serdecznie za zaufanie, jakim mnie obdarzono. Dziękuję radnym z poprzedniej kadencji za ich wkład w rozwój powiatu słupskiego. Nie ukrywam, że nie mogę się powstrzymać żeby nie złożyć podziękowania też mojej żonie...

Sposób prowadzenia Rady, pragmatyczne spojrzenie na

funkcje Rady, na przebieg obrad sesji, będę starał się kontynuować w taki sam sposób, jak robił to pan doktor Janusz Grzybowski. Obiecuję, że nadal tak sprawnie będą przebiegały posiedzenia Rady i będziemy wspólnie troszczyć się o teraźniejszość i przyszłość powiatu słupskiego.



# Zstąpmy i pokochajmy

Służba zarówno kapłańska, jak i samorządowa wynika z gotowości dawania siebie społeczeństwu. Kto ją pełni musi wkalkulować sobie brak wdzięczności za to co dla drugiego człowieka czy społeczeństwa uczyni. Inaczej się rozczaruje.

Św. Teresa z Kalkuty dziennikarzo-  
wi, który obserwując jej posługę wśród trędowatych i nawet za tysiąc dolarów nie chciałby jej wykonywać, odpowiedziała, że ona też za żadne pieniądze nie chciałaby tak pracować, ale pracuje, ponieważ widzi w ludziach umierających swoich bliźnich.

Posługa zarówno nasza kapłańska, jak i samorządowa musi być zakotwiczona w miłości i poszanowaniu bliźniego - każdego człowieka, nawet tego, który jest nam przeciwny. Cieszyłem się, gdy na stanowisko radnego zgłosiło się w naszej wiosce aż trzynastu kandydatów, na radnego powiatowego - 173. To znaczy, że tylu było chętnych do dźwignia krzyża i odpowiedzialności za los naszej małej ojczyzny.

Ojczyzna jest dla mnie i mojego pokolenia sprawą zasadniczą. Jestem wyczulony na każdy akt wierności tradycji i heroizmu w codziennych aktach wyboru najwyższych wartości, za które oddawali życie nasi ojcowie. (...) Z jednej wyrosliśmy rzeczywistości powojennej i dlatego trzeba stanąć w obliczu prawdy, aby uświadomić sobie i innym jak trudno było zachować wartości naszych ojców. Bo do jakich dochodzi paradoksów? Dyrektorka jednej z podkrakowskich szkół na kongresie kulturowym w Gorzowie Wielkopolskim przed dwoma laty, w obecności dwóch ministrów powiedziała, że na pytanie anonimowej ankiety wśród maturzystów: co mi dała Polska i jaką więź z krajem przyszłość? - 70 proc. uczniów odpowiedziało, że nie widzi w swojej ojczyźnie żadnej przyszłości i myśli o wyjeździe za granicę...

Jak dzisiaj realizować wartości naszych ojców? Zaczę może od własnej spowiedzi. Po maturze przeżyłem zawstydzenie przed patriotą płk. Armii Krajowej, biblistą, kapelanem Powstania Warszawskiego, po wojnie więźniem politycznym z trzema wyrokami śmierci za postawę sanacyjną, klerikalizację żołnierzy, nie poddaniu się tzw. amnestii. Spotkaliśmy się

podczas wakacji w Żarnowcu w klasztorze s. Benedyktynek. Opowiadał mi o swojej gehennie powojennej, wbijaniu drzazg za paznokcie, bezsennych nocach, staniu w zimnej wodzie całymi godzinami. Żaląc się nad jego losem krzyknąłem: i to za to ks. prof. płk tak cierpiał, że inaczej Polskę kochał? Stał jak wryty. Zrozumiałem, że go zranilem. Po chwili odpowiedział: a jak miałem kochać Polskę?

Zrozumiałem w jednej chwili, że dla niego Bóg, honor, ojczyzna, jego własne życie leżało na jednej szali. A myśmy musieli wtedy chodzić na pochody z flagami z sierpem i młotem, odrywano nas od korzeni, w niedzielę kazano nam brać udział w tzw. czynach społecznych. O Piłsudskim, Katyniu, Monte Cassino, dokonaniach polskiej armii na Zachodzie dowiadywaliśmy się dopiero od dziadków w domach lub z radia Wolna Europa. Aż zaświtała jaskółka wiosny i świętujemy na nowo 11 listopada, w sierpniu Wojsko Polskie obchodzi swoje święto. (...).

Jestem na tych uroczystościach od lat, szukam wzrokiem moich parafian, radnych, cieszę się, jeśli widzę, choć niewielkich, szukam wywieszonych flag biało-czerwonych. Potem pytam w sercu, dlaczego jest ich tak mało i zaraz słyszę odpowiedź płk. J. Stępienia z Powstania Warszawskiego: „Co oni z wami zrobili?”

Zapytałem niedawno ks. kapelana, jaki duch patriotyzmu panuje w wojsku? Odpowiedział: to pytanie retoryczne, na pewno nikt z benzyną na czółgi już nie pójdzie... Ale czy w ogóle młodzi czują Polskę? - dociskałem. Kapelan odpowiedział: za dolary, w służbie ONZ! Co się dziwić, jeżeli w szkołach przez wiele lat obowiązywał program od małpy do Lenina...

W 1978 roku byłem zaproszony do ZSRR przez lejtnanta, któremu ochrzciłem po kryjomu w pierwszej parafii w Biało-gardzie dziecko. Zaprosił mnie do siebie. Byłem tam w muzeum urządzonym w kościele, zaczynającym się ewolucją człowieka od małpy, później przypominającym wszystkie systemy społeczne kończąc na Leninie i komunizmie. Tam prowadzono szkolne wycieczki. Podobną edukację prowadzono w Polsce. To co się dziwić, że staliśmy się „homo sovieticus” przyjmując zamiast Bożych, zbójcekie przykazania na życie, na prawdę, na sto-

# do głębi swoją ojczyznę

sunki międzyludzkie. (...) Pogubiliśmy się. Można było się spodziewać, że stworzymy społeczeństwo ze schizofrenią moralną.

Dziś istotne jest pytanie: jak wywołać się z tego, jak uratować Polskę? Podczas pielgrzymki Ojca Św. Benedykta XVI do Turcji, z dyskusji na łamach czasopism utkwily mi w pamięci słowa jednego z muzułmańskich szejków: „Dzięki waszym demokratycznym prawom przeniesiemy się do was, dzięki naszym koranicznym prawom pokonamy was” („Gość Niedzielny” nr 40, „Jak rozmawiać z islamem”).

Ojciec św. Jan Paweł II zaczął pielgrzymkę do Koszalina od pryncypiów - Bożych przykazań. Na Zachodzie lekarze i prawnicy, parlamentarzyści studiują teologię, prasę katolicką, uczestniczą w rekolekcjach dla grup zawodowych, biorą udział w pielgrzymkach do miejsc świętych, narodowych. My mamy też takie w zasięgu ręki: Będomin, Szymbark, Stuthof, Skrzatusz, Sianów, Kalwaria Wejherowska...

To droga do „Boga, honoru, ojczyzny”!

Na Westerplatte Jan Paweł II powiedział: „Każdy ma swoje Westerplatte i musi je w swojej duszy obronić”. Te podstawowe pryncypia zawarte są w przykazaniach. Na pomniku Sokratesa w Atenach widnieje napis, że demokracja to nie jest konsensus praw, ale prawo konsensusu, to znaczy, że nie możemy dyskutować i robić referendum nad pryncypiami: prawem do życia, prawdą w rozumieniu ontologicznym, rodziną, czystością, szacunkiem dla rodziców i przełożonych itd.

Jeszcze niedawno nie było wiadomo czy w szkołach można powiesić krzyż. W pokojach nauczycielskich dyskutowano jak potraktować księdza, katechetkę, zakonnicę? Nawet w naszej szkole w Duninowie zrobiono nad katechetką lincz, choć była to równocześnie nauczycielka polonistyki. Nie wytrzymała w następnym roku i wyjechała w głąb Polski...

Wszyscy pewnie pamiętamy strajk młodzieży w obronie krzyża w Miętnej. A laickie media epatowały nas państwem wyznaniowym. I tak zostaliśmy schizofreniali, liberalni, z programem „róbta co chceta”, z problemem narkotyków już w szkole, z rozpijaniami młodzieży, z kilkoma sklepami z alkoholami w każdej wiosce. Równocześnie zamknięto pocztę, kiosk ruchu, nie mówiąc już o sprzedanej obcokrajowcom popegeerowskiej i SKR-owskiej ziemi.

Mimo to udaje się nam co roku pojechać i pokazać naszym dzieciom piękno tatrzańskich widoków. Udało się przyjąć do naszego schroniska najpierw dzieci z Czarnobyli, potem internowanych powodzian. Dzisiaj przyjmujemy dzieci z Litwy i Białorusi. Jaskółką odradzającej się wiosny były 34 pielgrzymki do Rzymu; większość została zorganizowana na zasadzie: śpiewór, materac, własne jedzenie...

Obejmując w stanie wojennym parafię w Duninowie zastałem ją w opłakanym stanie. Jedenaście obiektów było do remontu, w tym kościół parafialny z dachem wpadającym do środka. To samo przydarzyło się dwóm kościołom filialnym. Brakowało sal katechetycznych, które musieliśmy zbudować (religia była jeszcze przy kościołach). Kaplica cmentarna nadawała się do remontu, trzy parafialne cmentarze nie były ogrodzone (chodziły po nich krowy). Organistówka się zawaliła i ją też trzeba było odbudować niemal od podstaw. Plebania była bez wody i kanalizacji, z wychodkiem za stodołą. W każdym pokoju stały miski i wiadra wylapujące wodę ciekącą z dachu. W wieku 54 lat ze zgryzoty i indolencji ówczesnych władz umarł poprzedni proboszcz...

Po wyborze papieża Jana Pawła II wszystko drgnęło, dzięki społecznemu zaangażowaniu udało się wyremontować dachy kościołów, a nawet skorzystać z nowoczesnych rozwiązań technicznych i zamontować nowoczesną pompę ciepła z wymiennika gruntowego, pierwszą w diecezji. Obiekt gospodarczy udało się zaadaptować na schronisko młodzieżowe. Wszystko to było możliwe dzięki nowej wiosni Kościoła i Polski również w naszej parafii oraz dzięki pielgrzymkom do Rzymu, gdzie ojcowie młodzieży i dzieci uczestniczących w tych wyjazdach pragnęli się zrewanżować Kościołowi.

Za dwa lata przeżywać będziemy 50-lecie powstania parafii. Do tego czasu planuję definitywnie zakończyć prace remontowe. A czeka nas odrestaurowanie organów firmy Voelknera i okolenia kościoła. W Duninowie w XIX wieku istniała firma, która konstruowała organy na całą Europę. W fazie jej największego rozwoju trzydzieści instrumentów rocznie wyjeżdżało w świat. Wszystkie okoliczne kościoły - w Ustce, Charnowie, Gardnie Wielkiej, Możdżanowie, Słupsku, Szczecinku, Łęknie są w posiadaniu takich organów. U nas jest ich prototyp, niestety wymaga generalnego

*Zrozumiałem w jednej chwili, że dla niego Bóg, honor, ojczyzna, jego własne życie leżało na jednej szali.*

*A myśmy musieli wtedy chodzić na pochody z flagami z sierpem i młotem, odrywano nas od korzeni, w niedzielę kazano nam pracować w tzw. czynach społecznych. O Piłsudskim, Katyniu, Monte Cassino, dokonaniach polskiej armii na Zachodzie dowiadywaliśmy się dopiero od dziadków w domach lub z radia Wolna Europa. Aż zaświtała jaskółka wiosny i świętujemy na nowo 11 listopada.*

remontu. Koszt renowacji wynosi ok. 120 tys. zł. Mamy przyrzeczenie samorządu gminy z poprzedniej kadencji o rezerwacji w budżecie na 2007 rok kwoty 30 tys. zł rozłożonej na dwa lata i takiej samej kwoty od konserwatora zabytków. Brakuje jeszcze ok. 60 tysięcy. Czeką nas również renowacja ogrodzenia kościoła wpisanego do rejestru zabytków.

Mamy również pełną dokumentację wymiany zmurszałego szachulca w kościele filialnym w Zaleskich. Niestety, wysłany wniosek do Ministerstwa Kultury nie otrzymał wystarczającej liczby punktów. Wiem jak trudną pracę wykonują obecnie mieszkańcy Objazdy ratując swój szachulcowy kościół od degradacji. Podobny remont czeka też kościół w Machowinie. Na remont czekają organy w Wytownie, wieże kościoła w Gardnie i Bruszkowie.

Wspominam o tym wszystkim w kontekście dziedzictwa kulturowego w naszych wioskach, gdzie kościoły są jedynymi zabytkami i świadkami minionych czasów. Niestety 100 kościołów - o czym mówił m.in. na konferencji proboszczów ks bp. I. Jeż - rozpadło się po wojnie na terenie naszej diecezji.

**Ks. Jerzy Wyrzykowski, Duninowo**



*Przed wyborami samorządowymi Zarząd Powiatu Słupskiego nie podejmował już strate-*

**S**ześć podjętych przez Zarząd Powiatu uchwał dotyczyło zadań, na jakie przeznaczają się środki Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych, zobowiązań wekslowych wobec projektów stypendialnych, zmiany regulaminu przyznawania i wypłacania stypendiów.

Zarząd zdecydował o podaniu do publicznej wiadomości informacji o wykonaniu budżetu powiatu za III kwartał 2006 roku. Jest to nowy obowiązek nałożony znowelizowaną ustawą o finansach publicznych. Trzy uchwały dotyczyły Centrum Edukacji Regionalnej. Jednostka ta, powołana przez Radę Powiatu na sesji paź-

# Tylko niezbędne decyzje

*gicznych decyzji. Po 24 października skupiono się wyłącznie na niezbędnych działaniach wymagających bieżących rozstrzygnięć.*

Zarząd Powiatu podjął też kilkanaście uchwał własnych, spośród których pięć wprowadzono zmiany w budżecie powiatu. Kolejną uchwałą powołano komisję do przeprowadzenia przetargu nieograniczonego na zaciągnięcie kredytu w wysokości 3,5 mln zł. Przedstawiła ona już protokół z przeprowadzenia postępowania ze wskazaniem najkorzystniejszej oferty - Banku Ochrony Środowiska. Zarząd upoważnił starostę oraz Leszka Krefta - członka Zarządu do podpisania umowy kredytowej.

dziennikowej, aby mogła sprawnie funkcjonować, musi mieć pełnomocnika, który zajmie się jej organizacją, a także kierownika, który będzie nią zarządzał.

Zarząd Powiatu powołał komisję konkursową do wyłonienia kandydata na stanowisko dyrektora Poradni Psychologiczno-Pedagogicznej w Słupsku. Dotychczasowy dyrektor Romuald Machaliński przeszedł na emeryturę. Komisja zakończyła już obrady i na dyrektora wskazała Jolantę Kamińską - pracującą w Poradni

## Teraz praca na zastęp

*Powiatowy Urząd Pracy przystąpił do współfinansowanego ze środków Europejskiego Funduszu Społecznego projektu pn. „Rotacja pracy”. Adresowany jest on do sektora mikro, małych i średnich przedsiębiorstw, a jego celem jest wsparcie firm w działaniach skierowanych na rozwój potencjału zawodowego pracowników.*

Rotacja pracy umożliwia pracownikowi czasowo przerwać wykonywaną pracę, aby odbyć szkolenie, bez powodzenia poważniejszego zakłócenia rytmu pracy w przedsiębiorstwie. Rotacja jest określona jako strategia, w której wygrywają i odnoszą korzyści wszystkie strony biorące udział w projekcie. Działalność przedsiębiorstwa nie cierpi w okresie nieobecności pracowników, gdyż są oni zastępowani przez osoby spoza przedsiębiorstwa. Poprzez udział w szkoleniach, wzrost poziomu wiedzy i umiejętności pracowników zwiększa się konkurencyjność. Rekrutacja i zatrudnienie nowych pracowników jest ułatwione ze względu na tymczasowe zaangażowanie „zastępców”, którzy nabierają doświadczenia w pracy i zwiększają poczucie własnej wartości na rynku pracy.

ników lub opłatę za szkolenie. Wkład ten określony jest na 20 proc. kosztów szkoleń.

Głównym elementem wsparcia dla firm są pracownicze szkolenia finansowane ze środków Europejskiego Funduszu Społecznego. Wymagany jest jednak udział własny przedsiębiorstw w kosztach szkoleń. Chodzi o pokrycie kosztów urlopu szkoleniowego skierowanych na przeszkolenie pracow-





na stanowisku pedagoga – logopedy. Zarząd zaakceptował tę kandydaturę. Przyjął też projekt budżetu na 2007 rok. Uchwałę przesłano do Regionalnej Izby Obrachunkowej, na sesji zajmie się nią Rada Powiatu. Powołana specjalna komisja zajmie się rozpatrywaniem wniosków oraz przygotowaniem listy stypendystów na obecny rok akademicki.

Dwoma uchwałami Zarząd umorzył wierzycelności ciążące na dwóch byłych najemcach lokali w budynku przy ulicy Sienkiewicza 20 w Słupsku. Ogólna wartość umorzeń to blisko 14 tys. zł. W obu przypadkach egzekucje komornicze okazały się nieskuteczne, a w postępowaniach egzekucyjnych nie uzyskano by kwot wyższych od kosztów dochodzenia i egzekucji tych należności.

Sześcioma postanowieniami uzgodnione zostały projekty miejscowych planów zagospodarowania przestrzennego w gminie Ustka. Dotyczą one obrębów geodezyjnych zlokalizowanych w Machowinku, Dębinie, Wytownie oraz Poddąbiu. Objęte nimi zabudowy będą mogły powstać pod warunkiem wcześniejszego uzbrojenia terenów.

Na posiedzeniu 1 grudnia Zarząd zdecydował o zatrudnieniu na czas nieokreślony Mariusza Ożarka na stanowisku dyrektora Zarządu Dróg Powiatowych. Powierzono mu dyrektorskie obowiązki już w czasie urlopu wypoczynkowego poprzedniego dyrektora i później po jego przejściu na emeryturę. Wykonywał je sumiennie, wykazał się przy tym dużą operatywnością. Powstały teraz po nim vacat będzie obsadzony w drodze naboru, przewidzianego w ustawie o pracownikach samorządowych.

**Aleksandra Grądzka**  
**Wydział Organizacyjno-Prawny**

**Mariusz Ożarek**  
- nowy dyrektor  
Zarządu Dróg Powiatowych



# pstwo

Mechanizm rotacji pracy zwiększa konkurencyjność przedsiębiorstwa oraz jego zdolność przystosowania do zmieniających się warunków funkcjonowania, zapewnia szkolenia zawodowe pracownikom i integruje bezrobotnych z rynkiem pracy. Bezrobotni zatrudniani „na zastępstwo” mają większą szansę na znalezienie pracy.

„Zastępcami” mogą być osoby dysponujące odpowiednim poziomem kwalifikacji jednocześnie gotowe do podjęcia szkolenia i sprostania wymaganiom tymczasowego pracodawcy - bez gwarancji uzyskania pracy stałej lub na dłuższy okres. Z projektu nie będą mogli skorzystać osoby nie mające żadnych kwalifikacji zawodowych, z wykształceniem jedynie podstawowym lub zawodowym w zawodach nieprzydatnych we wspólczesnej gospodarce.

Nie jest to więc praca dla wszystkich, natomiast tym, którzy będą odpowiadać jej specyfice i zdecydują się z niej skorzystać, powinna przynieść korzyści.

Biorąc pod uwagę wielkość lokalnego bezrobocia, zakłada się, że grupy kandydatów na „zastępców” zarejestrowane w powiatowym urzędzie pracy będą wystarczająco liczne.

**Marcin Horbowy**  
**Powiatowy Urząd Pracy**  
**w Słupsku**

Program ten ma na celu wspieranie współpracy między organizacjami pozarządowymi, w szczególności wspieranie działań o charakterze interdyscyplinarnym w zakresie inicjatyw obywatelskich, wymagających zintegrowanej, określonej formy aktywności organizacji pozarządowych. Zadanie współfinansowane jest przez Ministerstwo Pracy i Polityki Społecznej w ramach rządowego Funduszu Inicjatyw Obywatelskich.

Organizowane są cztery zadania. Pierwsze dwa są skierowane do młodzieży uczącej się w Zespole Szkół Agrotechnicznych w Słupsku oraz do liderów wiejskich w gminach: Głównicy, Słupsk, Dębica Kaszubska i Ustka. Ich beneficjenci uczestniczą w bezpłatnym cyklu szkoleń.

Na spotkania te zaproszone są osoby działające do tej pory w Kołach Gospodyń Wiejskich lub w innych grupach nieformalnych w swoich miejscowościach. Ich uczestnicy pozyskują wiedzę o tym, jakie warunki należy spełnić i jakie podjąć kroki, aby założyć stowarzyszenie lub działalność gospodarczą. Uzyskanie osobowości prawnej pozwoli im na pozyskiwanie dodatkowych środków finansowych na działalność. Dzięki temu będą mogły one efektywniej i skuteczniej oddziaływać na otoczenie, w którym żyją i na rzecz, którego działają.

Kolejnym zadaniem będzie zorganizowanie forum dla rolników z powiatu słupskiego. Na nim beneficjenci zostaną zapoznani z nowymi możliwościami pozyskiwania środków finansowych w latach 2007-2013 na rozwój obszarów wiejskich, w tym swoich gospodarstw, miejsca pracy,

*Słupski oddział Stowarzyszenia Naukowo-Technicznego Inżynierów i Techników Rolnictwa wspólnie ze Stowarzyszeniem Rozwoju Obszarów Wiejskich „NOWATOR” w Strzelinie podjął się realizacji projektu „Aktywni dla siebie = aktywni dla otoczenia”.*

ochronę środowiska i rozwiązywanie problemów lokalnych.

Ostatnie zadanie to organizacja spotkania dla osób najbardziej zaangażowanych w realizację projektu. Będzie ono miało charakter podsumowujący i integracyjny zarówno dla członków przygotowujących je stowarzyszeń, jak i dla liderów wiejskich z powiatu. Wszyscy zebrani podzielą się swoimi spostrzeżeniami na temat zrealizowanego projektu oraz wypracują wspólny plan działania na przyszłość.

**Magdalena Kapiszka**  
**Koordynator projektu**

**Jak sięgać po pieniądze**

To grupa obrażana i lekceważona za wszystkie nieudane poczynania władz rządzących, kierownictw i dyrekcji zakładów, uczestnicząca w śmiesznym i upodlającym „uszczelkowym” angażowaniu się w sprawy nierozwiązywalne, ale pchane lub przepychane do przodu. Ci ludzie pamiętają też wierszyki ulicy typu „...KC ma ile chce, urzędnik państwa za dwa pięćset pracować gotowy, a reszta hołoty po tysiąc złotych. Solidarność na to: g..., teraz wszystkim będzie równo, dwa pięćset dla każdego. Pięćset na pierwszego i pięćset na piętnastego...”

# Jak charty na

**G**reyhoundy to angielskie psy reprezentacyjne, gładkowłose charty wykorzystywane do uczestniczenia w psich wyścigach. Są szybkie i na krótkich odcinkach mogą pędzić z szybkością niemal siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Taka wataha numerowanych piesków w zamkniętym kręgu, na bieżni maneża, goni zająca a raczej jego kukłę, zajęczy fantom, manekin. Belka maneża kręci się i kręci, charty gonią kukłę, ale jej nie doganiają. Z całego stada zawodników tylko jeden umownie dopada szaraka - szydercę, wygrywając sprinterskim biegiem zawody obstawiane przez obserwatorów gonitwy, graczy.

Tyle krótkiego wstępu do hazardowo - psiego zjawiska wyśmienicie oddającego atmosferę ringu, zawodów, uczestnictwa, championów, rozwoju gniazd i rodowodów, pieniędzy, ale i smutku z przegranej, hodowlanej klęski itd. To też dobra odskocznia do wyścigu i konkurencji, pieski można zamienić na szczury, ale i na ludzi sięgających do celu i... już, już... wydaje się, że jest w zasięgu zębów, ręki, a jednak nie. Zajęcza kukła stanęła, współzawodnik był lepszy, konkurent wygrał, maneż stanął i... do następnego startu.

Właściwie maneż to ujeżdżalnia lub arena, też kierat, w rolnictwie mechanizm uruchamiany siłą zwierząt pociągowych chodzących w koło, także synonim ciężkiej, jednostajnej, ogłupiającej pracy.

Wygrał, przegrał, zostawmy paru zawodników, będąc nietaktowni i mało wyrozumiali dla statystyki i powołam się na dane dotyczące bezrobocia w powiecie słupskim i Słupsku. Dlatego, aby zastanowić się ilu z bezrobotnych w wieku 55 - 64 lat dałoby się zakwalifikować do wyścigu o robotę, do outsiderów, ale kandydatów gotowych podjąć jakąkolwiek pracę za godzinową płacę. Tu jedno wyklucza drugie a nie wymaga wyjaśnień, że jakąkolwiek pracę nie premiuje godzinowymi zarobkami. Według wybranych danych z wydania specjalnego Biuletynu „Powiat Słupski” VIII 2006 Nr.7 (podsumowanie kadencji) na 31.III.2006 było 571 bezrobotnych w wieku 55 lat i więcej. Według sprawozdaności do Wojewódzkiego Urzędu Pracy w końcu IV kwartału 2005 w powiecie było bezrobotnych w wieku 55 - 64 lata razem 545, w mieście Słupsku - 535. Łącznie

„wiekowych” bezrobotnych było 1080, a w sytuacji szczególnej na rynku pracy kolejno - 434, 428, łącznie 862.

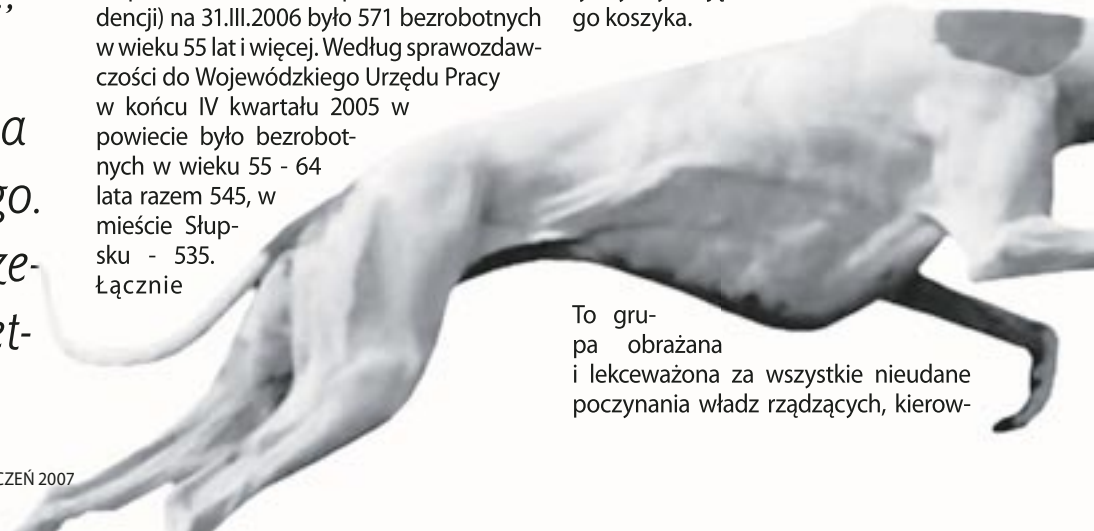
**N**ie mam żadnych wątpliwości, że tę szczególną grupę wiekową tworzą w większości już spracowane konie, a nie wyścigowe charty. Potwierdza to w/w sprawozdanie, że bezrobotnych 50-latków o stażu pracy 20-30 lat było w powiecie 687, a w mieście 352, razem 1039. Ze stażem 30-letnim i większym było kolejno 170 i 35, razem 205 osób.

Nie można w sposób odpowiedzialny spekulować cyframi nie znając instrukcji umożliwiającej prawidłową interpretację zestawień. Chodzi o fakt, rząd i skalę zjawiska 50-latków a nie o jakieś rozbieżności statystyczne, a jest to bez wątpienia duża grupa ludzi doświadczonych, oczekujących i poszukujących pracy, przygotowujących się do nowych specjalizacji i nowych zawodów, może przygotowujących przez doradców zawodowych. Są to ludzie już przygotowani. No, może nie wszyscy, bo nowa praca zwłaszcza wymagająca przyuczenia, to marna płaca wyrównana dla mas pracujących przez płatnika nie państwowego a prywatnego, dziś sztandarowego organizatora stanowiska pracy z reguły niechętnego leciwym kandydatom na pracowników.

Ta grupa jest trudna i pewnie niezle zdiagnozowana, opisywana w przekazach medialnych eksponujących jej wady i zalety, tu kolejność nie jest przypadkowa. Zapomina się, że jest to grupa pamiętająca jak w PRL-u według 10-letnich planów gospodarczych budowano mozolnie wzrost dochodu narodowego i podnoszono „...poziom dobrobytu szerokich mas pracujących...” coraz mniej skutecznie, ale z intencją „...aby Polska rosła w siłę a ludziom żyło się dostatniej...”

To grupa pamiętająca obiegowe hasło o pracowniczych nigusach „...czy się stoi czy się leży dwa tysiące się należy...”, w sklepach puste półki z octem czy kartkowe przydziały i dystrybucję towarowego koszyka.

To grupa obrażana i lekceważona za wszystkie nieudane poczynania władz rządzących, kierow-



# hazardowym ringu

nictw i dyrekcji zakładów, uczestnicząca w śmiesznym i upodlającym „uszczelkowym” angażowaniu się w sprawy nierozwiązywalne, ale pchane lub przepychane do przodu. Ci ludzie pamiętają też wierszyki ulicy typu „...KC ma ile chce, urzędnik państwowy za dwa pięćset pracować gotowy, a reszta hołoty po tysiąc złotych. Solidarność na to: g..., teraz wszystkim będzie równo, dwa pięćset dla każdego. Pięćset na pierwszego i pięćset na piętnastego...”.

Wielolatkowie, ci po 50-tce i 60-tce wiedzą też, że nawet nieudolne kierowanie ideologiczne krajową gospodarką odbywało się w oparciu o jakąś spójnię między miastem a wsią, przemysłem a rolnictwem, bazą surowcową a poszczególnymi gałęziami przemysłu żywnościowego.

**W**opracowaniach z 1954 roku naliczyłem tylko... 19 rodzajów przemysłów, od cukrowniczego przez tłuszczeniowy, mięsny, jajczarsko - drobiarski, mleczarski, młynarski itd. aż do spirytusowego, piwowarskiego, owocowo - warzywnego, przetwórstwa rybnego i innych. Proszę sobie wyobrazić, że każda z tych branż ma swoją historię, czy to dotyczy wypieku chleba spulchnionego już w starożytnym Egipcie, Grecji czy Rzymie, czy stężania spirytusu w drodze odpędu alkoholu z przefermentowanych cieczy i znajomości piwa, wina, kumysu przez ludy starożytne itd. itp.

Co istotniejsze, każda branża posiada, w większości przypadków aktualną do dziś, swoją specyfikę surowcową, teoretyczne podstawy produkcji, materiały pomocnicze, zarys techniki produkcji, technologię, metody i schematy produkcyjne, maszyny, urządzenia i aparaty, normy wydajności, zużycia surowca i materiałów, zasady kontroli, zdolność produkcyjną, produkty finalne, gotowe i produkty uboczne. Tu tylko sygnalizuję hasła wyrwane z podręcznikowych almanachów, bo wgłębianie się w szczegóły może tylko postawić włosy na głowie przed ogromem terminów, zasad i reguł gry niezbędnych dla profesjonalnie prowadzonych przedsięwzięć. Spławy, ślimaki, płóćki, dyfuzory, defektory, saturatory, cedzidła, wyparki, warniki, wirówki... wystarczy? A tryjer, młynnik, wycierka, przycierek, wirowanie zwrotne, plazmoliza, ekstrakt, puszka mandolinowa. Można tak w nieskończoność zabawiać się w ładne a tajemne słowa, a to tylko terminy

techniczne rozpoznawalne w różnych przemysłach przez pracowników niegdyś w nich zatrudnionych.

Zabawiam się słowami i terminami tylko dla uświadomienia sobie i innym, że niełatwo znaleźć się w pierwszej z brzegu, wybranej lub jakiegokolwiek, sprzed 17-tu lat branży przetwórczo - produkcyjnej aktualnego przemysłu spożywczego, jeśli w ogóle takie pojęcie jeszcze obowiązuje. Prawdziwy to specjalistyczny gąszcz, choć wiedza nie dla wtajemniczonych, a dla konkretnych pracowników różnych specjalności i setek zawodów z byłych branż po części nieprzydatnych, bo branża już nie ma lub istnieje tylko śladowo.

**P**o siedemnastu latach przekształceń własnościowych, restrukturyzacji, upadłościach i likwidacjach zostali przy swoich zawodach ci, którzy zostać musieli albo mogli. W 2006 roku nieprawdopodobnym jest by 50, 60-latek znalazł taką pracę, na której się znał, zwłaszcza w obcej sobie branży, a jakimś wielkim nieporozumieniem jest apelowanie, by byle gdzie, tam gdzie wypatrzona nisza rozpoznał usługowo - produkcyjne szanse, zorganizował środki produkcji i narzędzia, miejsce, znalazł środki, a jeszcze ludzi i stawał się przedsiębiorcą.

To jest spojrzenie nienormalne i chore: jak ktoś z branży cukrowniczej czy jajczarsko - drobiarskiej może w sposób odpowiedzialny i fachowy, profesjonalnie podejmować i wykonywać obowiązki w zawodzie cukiernika, masarza, piekarza, kucharza, a gdyby sięgnąć do innych przemysłowych branż - jako murarz, hydraulik, regipsiarz itp.

Coś tu jest postawione na głowie, znowu konia stawia się do pchania wozu a nie do dyszla, 60-latka wpycha się w kierat do sportowego biegu w roli „czarnego konia” dla naiwnie wyczekujących obstawiających goniłwy.

Obstawiaczami są ci wszyscy utyskujący, że 50, 60-latkom nie chce się pracować i molestujący ich by tworzyli sobie na stare lata biznesowe szczęście na nierównym i niewolnym rynku usług, produkcji, handlu etc. Tyle, że w wolnym kraju z rynkiem pracy, na którym nie chce uczestniczyć młode pokolenie, świadome, że co lepsze sztyldowe kąski zostały

już zaklepane, od końca do końca - podział wielkiego rynkowego bochna został już prawie ostatecznie dokonany. Nisz prawie nie ma, a rynek wypełniają sztyldy ze skutecznością mniej lub bardziej udolnie konkurującą z wszechobecnym importem wszystkiego, co światowy wytwórca jest w stanie skleić, zmontować, złożyć... i wcisnąć na rynek. Dziś Chińczyk nie tylko wyprodukuje pseudomarkowe sportowe buty czy t-shirty, ale rozgląda się po mazurskich nieużytkach, by na parotysięcznej dzierżawie, a najlepiej na gruntowej własności siać len.

Oczywiście, płodozmian, uprawę roli, nawożenie, siew, pielęgnację zasiewów i przeróbkę: roszenie, moczenie, suszenie, międlenie, trzepanie, czesanie i wygładzanie zabezpieczą polscy bezrobotni wyrobnicy, przekazując inwestorom cały dorobek polskiego Iniarstwa. Chińczycy wywiozą gładkie włókno i kłaki (pakuły), by po przerobieniu w Chinach wyeksportować tkaninę na cały świat jako były hit z Polski rodem.

Kto namówi rolnika na siew lnu, a bezrobotnego na jego przerób na włókno, uprzedzenie jak „...u prządniczki siedzą jak anioł dziewczeczki, przędą sobie przędą...”, potem tkanie (na wsiowych krosnach, jeśli jeszcze takie istnieją), bielenie i co tam jeszcze kolejnego siedzi w tajnikach wykonawczych, potem krojenie i szycie, rynkowy marketing, moda...

Tylko len, a ile szczęścia, ile z nim roboty, a ile możliwości. Ktoś powie, panie, len to niemodna starość jeszcze z kultury sumeryjskiej, Mezopotamii, uprawa starożytnego Egiptu z 2500 lat p.n.e., a w ogóle w Polsce to się nie opłaca, a Chińczyk jest tani.

No tak, pomysł i ryzyko produkcyjno - przetwórcze zobowiązany jest podjąć bezrobotny, najlepiej ambitny miłośnik lnianych

ciuchów, na które może kiedyś nastanie moda. Jednak odwaga i ryzyko jest w cenie, drogo też kosztuje zarówno pomysłodawcę, jak i podpowiadacza. Dlatego obserwuję daleko idącą wstrzeźliwość wszystkich tych, którzy z racji wiedzy wiele mogą zasugerować, a tego nie czynią. Pod-





powiedzieć, namówić, apelować i agitować jest niebezpiecznie, o czym kilkanaście lat temu przekonali się węgierscy rolnicy rozpaleni do białej gorączki nagłośnioną modą podejmowania hodowli pomnikowego robotnika, robaka, dżdżownicy kalifornijskiej. Gremialnie uderzyli do banków po kredyty, założyli tysiące łóż, wyhodowali miliardy dżdżownic, a te wyprodukowały hałdy humusu, którego nie można było nigdzie sprzedać. Producenci mogli humusem zasypać cały kraj i w dramatycznych okolicznościach padali zadłużeni jeden po drugim.

Informacje dotyczące hodowli zawsze były podlewane dziennikarskim sosem i sensacją, a szczyt mody z lat 90-tych mamy już za sobą. Do Red Hybrid of California warto jednak wrócić – hodowle tu i ówdzie funkcjonują, a nowe nie muszą powstawać jak grzyby po deszczu. Tu kapitalną sprawą jest możliwość wpływania hodowcy na skład chemiczny humusu. Poprzez odpowiednie komponowanie karmy zadawanej dżdżownicy, otrzymać można produkt finezyjny, wysoko specjalizowany o walorach antybiotyk dla roślin.

Chciałbym jednak doczekać takiej konkretnej i specjalistycznej konsultacji i doradztwa zawodowego jak na przykład w przypadku odpadów przetwórstwa owoców i warzyw, nadających się do dalszego przetworzenia – pestek i nasion owoców pestkowych: wiśni, śliwek, moreli i owoców jagodowych: porzeczek, malin, agrestu oraz pomidorów. Tu zapasy surowcowe są wymowne, w przypadku wiśni z 1000 ton owocu otrzymuje się 220 ton pestek, 44 tony jąder pestkowych, 17,1 ton oleju, 158,8 ton skorup, 26,8 ton wyłóków jądrowych.

Z pestek można otrzymać olej, pozostałość masy jądrowej zawiera związek zwany amygdaliną, ze skorup otrzymać można wysokowartościowy węgiel aktywowany. Z nasion jagód winorośli można produkować

enotaninę. Przerób wyłóków jabłkowych to produkcja ekstraktu pektynowego lub pektyny itd. itd. Może nieopłacalna plantacja i zbiór wiśni byłyby bardziej ekonomicznie uzasadnione dla oleju, węgla aktywowanego i amygdaliny niż dla produkcji wiśniowego dżemu, konfitur i kompotów? Kto to wie, kto to sprawdzi, kto przeanalizuje?

**T**e pierwsze z brzegu przykłady dotyczące, wbrew pozorom, ambitnych przedsięwzięć z teoretycznie otwartym rynkiem i odbiorcą, ale czy na pewno pomysły dobrze osadzone w wiejskim terenie obronią się przed rynkowymi realiami i przed importową konkurencją?

Czy gwarancję skuteczności w/w pomysłów daje ktoś z ponad tysiąca doświadczonych wiekiem i stażem bezrobotnych? A może ktoś z blisko setki bezrobotnych z wyższym wykształceniem? A może ktoś z ponad czterystu osób z wykształceniem policealnym i średnim zawodowym? Pewnie to pytanie zostanie pytaniem retorycznym. Można tylko spekulować czy pomysły są sensowne i racjonalne. Może brak wiary w wolny rynek w rolnictwie, w konkurencję albo we własne, inne branżowe doświadczenie i umiejętności, brak możliwości finansowych etc.

Z wyborami i dylematami nie do rozwiązania 50, 60-letni bezrobotni pozostawieni są sami sobie. Zanim zostaną jako przypadki z kryteriami wyłuskani z tłumu, wyselekcjonowani, zweryfikowani i ewentualnie zagospodarowani, miną tygodnie i miesiące. Urzędy pracy mają przecież określone zadania i usługi, jakie świadczą osobom bezrobotnym i pracodawcom, nie są też odpowiedzialne za pracę i rozwój innych instytucji rynku pracy.

Tu sama nasuwa się analogia z politycznie dyskutowaną od czasu do czasu, w miarę politycznej potrzeby, rolą Banku Centralnego pilnującego silnej złotówki i inflacji, tylko. Też analogia do pośrednika handlowego na

wsu, kupi owoc lub warzywo za ile chce, kupi lub nie, zarabia, nawet bezpośrednio wpływa na cenę towaru pośrednictwem często ją zawyżając.

A pośrednik pracy administruje organizacją i refundacją kosztów dla prac społecznie użytecznych, robót publicznych i interwencyjnych, czeka na wnioski, czeka na zabezpieczenie środków finansowych na ich realizację z Funduszu Pracy, czeka na wnioskodawcę, jeśli taki się trafi. Ponad tysiącu bezrobotnym 50, 60-latkom z powiatu i Słupska nie pozostaje nic innego jak też czekać lub szukać skutecznie roboty. Jeśli trend zmniejszania się bezrobocia będzie nadal postępował od kreski do kreski to nie można się spodziewać, że formalne poradnictwo Biur Pracy przeewoluuje na konkretne, profesjonalne i kierunkowe branżowo i będzie miało bezpośredni wpływ na instytucjonalny rynek pracy. Jeśli kraj nadal będzie się wyludniał z młodej, kwalifikowanej siły roboczej to róbmy tak, jak nam się podpowiada: róbmy byle co byle coś robić, podejmujemy pracę na której się kompletnie nie znamy, przekwalifikowujemy się, podejmujemy kursy, staże i inne wyzwania, startujemy do nowego wyścigu greyhoundów. Polak i tak wszystko potrafi i na wszystkim się zna, a że od profesjonalizmu i zawodowstwa się oddali to cóż z tego, nasze dzieci wrócą z migracji i emigracji i godnie nas, z klasą, po europejsku zastąpią. A my, stare konie, może nawet na stażu lub praktyce doznamy jeszcze chwil szczęścia.

**N**iemiecki filozof Artur Schopenhauer, prekursor filozofii życia, nieuchronność ludzkiego losu widział w rezygnacji z „woli życia” i w dławieniu pędu do działania. Powiedział nawet: „... jeden jest tylko błąd wrodzony, przekonanie, że istniejemy po to, byśmy byli szczęśliwi...”. Tyle pan Schopenhauer, a ja, 1000-u ludziom życzę jednak życiowego szwagu, aktywności i szczęścia w znalezieniu pracy i trwaniu przy niej.

**Czesław Guit, Lubuń**

*Instytut Historii Akademii Pomorskiej w Słupsku zorganizował 24 listopada promocję najnowszych książek pracowników i doktorantów instytutu z dziedziny historii współczesnej.*

## Historia dla wszystkich

Wydawnictwo popularnonaukowe Adama Marszałka, specjalizujące się w literaturze historycznej zaprezentowało słupskie nowości: prof. Andrzeja Peptońskiego i dr Piotra Kołakowskiego – „Polski wywiad wojskowy w latach 1918 – 1945”, dr Andrzeja Rossy – „Obrona powietrzna Polski w latach 1921-1939”. Wymienieni autorzy są pracownikami Akademii Pomorskiej, a ich publikacje są efektem wieoletnich badań.

Podczas promocji zaprezentowana została także książka Wojciecha Schatłacha – mieszkańca Hamburga, który był doktorantem Instytutu Historii i prowadził badania w archiwach niemieckich

dotyczące działań armii hitlerowskiej w czasie II wojny światowej. Jest on autorem opartej na nieznanym dotąd w Polsce dokumentach książki „Działania 2 Dywizji Strzelców Spadochronowych we Włoszech oraz na wyspach Elbie i Leros w czasie II wojny światowej”.

Wydawca książek – Adam Marszałek specjalnie na słupską promocję przywiózł najnowsze wydawnictwa historyczne, w tym wiele prac znanych jedynie w kręgach specjalistów zajmujących się problematyką XX wieku. Książki te sprzedawano po cenach wydawnictwa.

**J. Nitkowska-Węglarz Słupsk**



w głębinie pod słupskiem powstaje winnica

można oczekiwać. Ukończył studia na wydziale rolnym, zajmował się sadownictwem, uprawiał jabłonie, grusze, śliwy. W pewnym momencie stwierdził, że dla niego to za mało. Wybrał jeszcze uprawę winorośli. Najpierw zasięgnął wiele porad. Zdobywał wiedzę dotyczącą uprawy i pozyskiwania gron, a także wyrobu z nich wina. Na początku, w 2003 roku posadził 300 sadzonek białej winorośli. W następnym roku zasadził kolejne 350 sztuk odmiany granatowej. Sadzonki rosły pięknie.

Był czas, że na południu Polski wymarły wszystkie krzewy winne, a w Głębieniu, pod Słupskiem u Karnickiego przetrwały! Pozyskiwane dzisiaj z nich grona smakiem i kolorem nie różnią się od tych z ciepłych rejonów naszego kraju. Na powierzchni 0,7 ha krzewy ugięły się od dorodnych gron. Przechodzący w pobli-

żu nich ludzie przystawali i z niedowierzaniem podziwiali wprost bajkowy widok.

Z jednego kilograma odszypułkowanych owoców otrzymuje się około 0,6 litra wina. W pomieszczeniu, gdzie produkuje się wino wzrok od razu przyciągają nowe, pachnące świeżością beczki. Wykonane są z... kaszubskich dębów. Będzie w nich leżakować czerwone wino - „Pocałunek dębu”? Kaszubskie dęby potrafią całować. O, tak! W tym roku pan Karnicki na święta Bożego Narodzenia będzie pił wino z własnej winnicy. Na razie w ogromnych kadziach poddawane jest fermentacji. Jest jeszcze bez posmaku dębu tak charakterystycznego dla wina wytrawnego.

Aby się nie psuło musi zawierać najmniej 11 procent alkoholu. Pan Karnicki nastawił się na produkcję winna czerwonego, wytrawnego. Wina półsłodkie i słodkie to napoje sztuczne, bo na pewnym etapie produkcji muszą być dosładzane. Drożdże do swoich win sprowadza aż z Bordeaux z Francji. Musi mieć dużą wiedzę na temat win, bo należy do ekskluzywnego Konwentu Winiarzy Polskich.

Winnica pana Feliksa jest jedyną w całym pomorskim pasie od Białegostoku po Szczecin. Czy jego wino będzie należało do wyszukanych gatunków i będą je smakować koneserzy? Czy docenią cierpki smak kaszubskiego dębu i działanie na winorośl słońca nad Głębieniem?

Wino z głębińskiej winnicy nie ma jeszcze nazwy. Może spodoba się gospodarzowi nazwa „Pocałunek dębu”?

**Henryka Jurałowicz-Kurzydło  
Słupsk**

*Poczynając od Biblii, Stary czy Nowy Testament jest pełen wersetów związanych z winem, Bóg sam jest pod postacią Chleba i Wina czczony na ołtarzach. Mitologia grecka poświęca całe strony Bachusowi czy Dionizosowi. Poeci, malarze, pieśniarze, wszyscy chwalią kolor i smak wina.*

*Kaszubskie dęby i czerwone wino*

**M**ożna by się zapytać: co ma piernik do wiatraka? W tym przypadku ma. Ale może po kolei. Z Jankiem Maziejukiem jedziemy na reportaż, tym razem do Głębina koło Słupska. A kto tam jest taką ciekawą postacią?

Wjeżdżamy samochodem na podwórko, brama otwarta i... cisza! Pusto, drzwi domu zamknięte, na nasze pukanie nikt nie odpowiada, nawet pies nie ujada. No cóż, tak to jest jak się nie uprzedzi gospodarza... Nie rezygnujemy, ruszamy na poszukiwanie. Zaglądamy do sadu; sad jabłoniowy kusi barwą jesiennych liści, których, mimo że jest listopad, jeszcze wiele na drzewach. Ciągną się równiutkie rzędy niezbyt wysokich drzew, pod nimi nie ma gnijących owoców, wszystkie zerwane i zebrane. W sadzie pana Feliksa też nie ma. Wyruszamy na wieś, po drodze pytamy sąsiadów, gdzie może być. Sąsiad kieruje nas do winnicy. Gdzie? Winnica to brzmi co najmniej dziwnie na naszym terenie. Ale okazuje się, że jest winnica!

Pierwszy raz w życiu jestem w takim miejscu. Zawsze widziałam winorośl rosnącą na ścianach domów czy altan, ale nigdy w sadzie, na polu. A tu... krzaczki pięknie przycięte, niezbyt wysokie, w równych odstępach. Nad nimi rozciągnięte druty, które służą za podpory. I z tej oazy wynurza się właściciel. Miły, uśmiechnięty, trochę zdziwiony...

Po przywitaniu się zaraz chwali się swoją winnicą, po czym zaprasza na pokoje. W mieszkaniu nie widać żadnego gąsiora, w którym by coś bulgotało, żadnych próbowek, kielichów. Na półkach za to sama fachowa literatura...

Pan Feliks Karnicki działa z pasją. Jest człowiekiem, który doskonale wie, czego od życia





# Krajobraz po bitwie

*W 2006 roku, w ramach realizacji kilkuletniego projektu pn. „Ochrona naturalnego tarła łososia atlantyckiego i troci wędrownej w dorzeczu Słupi” podjęto pilotażowe badania radiotelemetryczne. Polegają one na oznakowaniu ryb specjalnymi znaczkami, emitującymi sygnały radiowe o określonej częstotliwości i pozwalają na szczegółowe zlokalizowanie każdej ryby za pomocą specjalnych odbiorników.*

W zależności od ukształtowania terenu i głębokości wody znaczek taki można namierzyć z odległości od kilkuset metrów do nawet piętnastu kilometrów. Znaczkę radiotelemetryczną sprowadzono z USA, a koszty ich zakupu pokrył Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Gdańsku. Pozwalają one, oprócz lokalizowania ryb, stwierdzić także czy ryba jest aktywna, czy pływa czy też odpoczywa. W momencie utraty znaczka (przy jego wypłuciu) lub przy śmierci ryby, gdy pozostaje on nieruchomy przez 24 godziny, rodzaj emitowanego sygnału zmienia się, pozwalając ustalić, co dzieje się z rybą.

Celem podjętych badań jest: ustalenie tras migracji ryb, badanie szybkości przemieszczania się, zlokalizowanie tarłisk, ustalenie czasu, jaki ryby danej płci spędzają na tarliskach, ustalenie śmiertelności po odbytych tarle i ochrona przed kłusownictwem. Ryby oznakowano po uprzednim

uśpieniu, dożołądkowo. Nie wpływa to negatywnie na ich zachowanie, ponieważ płynące na tarło łososie i trocie nie odżywiają się.

Pracownicy Parku Krajobrazowego „Dolina Słupi” w Słupsku wraz z Pracownią Rybactwa Rzecznego Instytutu Rybactwa Śródlądowego w Gdańsku, pod kierunkiem dr hab. Piotra Dębowskiego, oznakowali dwadzieścia pięć troci wędrownych zmierzających na tarło do Słupi i jej dopływów. Ani jedna z oznakowanych ryb nie zawróciła do morza, co świadczy o profesjonalnym przeprowadzeniu zabiegu umieszczania znaczków. Jedenaście troci oznakowano w Ustce, czternaście pozostałych przy służbie łososiowej w Słupsku.

Od 7 listopada 2006 roku praktycznie codziennie pracownicy Parku oraz Instytutu Rybactwa Śródlądowego przebywali w terenie lokalizując oznakowane ryby. Pomocą służyli im także studenci z Olsztyna,





Krakowa oraz Gdańska, którzy uczestniczyli w „warsztatach tarliskowych”, poświęconych badaniu naturalnego rozrodu ryb łososiowatych w dorzeczu Słupi.

Wnioski z pierwszych w Polsce badań radiotelemetrycznych nie są pocieszające. Jesteśmy jedynym krajem w Europie, gdzie na dużą skalę ryby znikają z rzek. Już na początku znakowania stracono kontakt z kilkoma rybami. Ponieważ zachodziło podejrzenie, że ryby, których nie można było zlokalizować kryją się w głębokich i niedostępnych dołach, postanowiono spływać łodzią ze Słupska do Ustki, tak, aby nie było możliwości pominięcia żadnej z oznakowanych troci.

Z jedenastu wypuszczonych w dole rzek ryb dwie prawdopodobnie wypłyły znaczkami. Z dziewięciu pozostałych do końca listopada zdołały przeżyć trzy trocie. Niektóre z nich dotarły do tarlisk w Słupsku, niektóre pozostały na tarliskach w rejonie Włynkowa, Bydlina, Charnowa i Wodnicy, gdzie padły łupem kłusowników.

Sytuacja na odcinkach rzek od Słupska w górę nie jest wiele lepsza. Niektóre ryby dzień po oznakowaniu w Słupsku dotarły do tarlisk w rzece Skotawie w pobliżu Skarszewa Dolnego. Na tym jednym z największych w dostępnej części dorzecza tarlisku (podczas warsztatów tarliskowych zlokalizowano tu ponad 100 dużych gniazd) ryby są masowo eksterminowane przez kłusowników. Kilkakrotnie łapani na gorącym uczynku za nic mają oni obowiązujące prawo, szydzą ze wszystkich instytucji i organów władzy, bezkarnie wybijając setki ryb odbywających tu tarło. Z czterech oznakowanych ryb, które udały się na tarliska w Skotawie do końca listopada przeżyła tylko jedna.

Smutny los spotkał 56-centymetrową

samicę troci, która udała się na tarło w górę rzeki Głażnej. Została zabita wraz z dziesiątkami innych na tarlisku między Głobinem a Redzikowem. Wydeptane brzegi oraz masa poniewierającej się na brzegach ikry to dziś jedyne ślady rzezi ryb, jaka się w tym miejscu odbyła.

Jeszcze ciekawszy przypadek dotyczy 76-centymetrowego samca troci, który 25 listopada pływał ciesząc się dobrą kondycją pod mostem obok Zamku Książąt Pomorskich w Słupsku. Następnego dnia, podczas namierzania tej ryby zlokalizowano znaczek... na jednej z prywatnych posesji w Słupsku. W śmietniku obok luksusowej willi znaleziono wnętrzności ryby i jej ogon. Musiała zostać zabita kilkanaście godzin wcześniej.

Podobny los spotkał rybę odbywającą tarło w pobliżu Łosina. Na tarliskach gdzie wcześniej kilkakrotnie były lokalizowane dwie trocie spłoszono kłusownika - wędkującego na spinning. Po tym incydencie okazało się, że brak jest kontaktu z rybą lokalizowaną tu wcześniej.

Rybam zagrażają nie tylko kłusownicy. 24 listopada znaleziono znaczek ze szczątkami zjedzonej przez wydrę lub norkę 56-centymetrowej samicy troci odbywającą tarło w rzece Kwaczej w Kwakowie. Z czternastu troci oznakowanych w Słupsku do końca listopada 2006 przy życiu pozostało tylko pięć, skłusowanych zostało tyle samo, z trzema nie udało się uzyskać kontaktu.

Głównym zagrożeniem dla powodzenia realizacji dużych projektów mających za zadanie ochronę naturalnego tarła łososi atlantyckiego i troci wędrownej w dorzeczu Słupi jest rozplenione ponad miarę kłusownictwo. Sukces naturalnego tarła tych królewskich ryb jest wpadkową swoim wyścigu między kąpiącymi gniazda samicami oraz walczącymi ze sobą samcami, a podejrzanymi typami w walonkach, których hordy grasują na pomorskich rzekach wybijając całe populacje ryb.

Straty są ogromne. W 2006 roku wyposażono dwie działające w Słupsku przepławki w specjalne skanery, monitorujące każdą sztukę troci zmierzającą na tarło w górę rzeki i przepływającą przez Słupsk. Na podstawie uzyskanych danych stwier-

dzono, że na tarliska przepłynęło około czterech tysięcy ryb. Ponad połowa z nich została wykłusowywana.

Średnia masa udającej się na tarło samicy wynosi ok. 2 - 3, kg zaś płodność ok.



1,5 - 2 tys. ikry na 1 kg. Zatem na skutek kłusownictwa ponad pięć milionów ziaren ikry zamiast w gniazdach spoczęło na brzegach Słupi i jej dopływów, nie dając w ten sposób początku życia następnym pokoleniom ryb.

W regionie słupskim stawia się na rozwój turystyki i gospodarki w oparciu o zasoby przyrodnicze. Trocie i łososię sławią rzekę Słupię, miasto, region w kraju i poza jego granicami. W Słupsku od kilku lat organizowane jest „Święto ryby”, a setki wędkarzy odwiedzających Słupię i jej dopływy w poszukiwaniu tych królewskich ryb zostawiają tutaj żywą gotówkę. Turystów i wędkarzy byłoby znacznie więcej, gdyby ilość ryb żyjących w rzekach była większa.

**Marcin Miller**  
**Park Krajobrazowy „Dolina Słupi”**

# Restytucja łos

*W 1995 roku Instytut Rybactwa Śródlądowego, na czele z prof. Ryszardem Bartelem rozpoczął program restytucji łososa w polskich rzekach, materiał zarybieniowy pozyskano z łotewskiej rzeki Dźwiny. Mimo sukcesu, obecny w polskich rzekach łosoś nadal jest gatunkiem zagrożonym.*

Łosoś szlachetny (*Salmo salar*) jest rybą z rodziny łososiowatych (*Salmonidae*), dorasta do rozmiarów 150 centymetrów i 24 kilogramów. Występuje w północnej części Atlantyku, w rzekach Ameryki Północnej, w Europie od Portugalii po Morze Białe, Północne i Bałtyk. Jest rybą dwuśrodowiskową, andranomiczną, tzn. wędrującą na czas rozrodu z mórz do rzek. Żywi się owadami, mniejszymi rybami oraz skorupiakami.

W czasie wędrówki łososiom kierują się zapachem wody w miejscu, w którym przyszły na świat. W trakcie przekraczania granicy wód słodkich i słonych dokonują się w ich organizmach zmiany biochemiczne i fizjologiczne. Podczas wędrówki nie pobierają pokarmu. Po tarle wiele osobników ginie. Osobniki młode spędzają w rzekach 2-3 lata, następnie wędrują do morza, gdzie spędzają kolejne 2-3 lata, po czym wracają do tej samej rzeki na tarło.

Populacja łososa w polskich rzekach całkowicie wyginęła w połowie lat osiemdziesiątych XX wieku. Przegradzanie i pogarszająca się jakość wód rzek pomorskich zrobiły swoje. Ostatnie tarlaki obserwowano w Drawie w 1985, ostatnie łososiom w stadium par złowiono w 1987 roku. W tej sytuacji w 1995 roku Instytut Rybactwa Śródlądowego, na czele z prof. Ryszardem

Bartelem rozpoczął program restytucji łososa w polskich rzekach; materiał zarybieniowy pozyskano z łotewskiej rzeki Dźwiny. Mimo sukcesu, obecny w polskich rzekach łosoś nadal jest gatunkiem zagrożonym. Obecną sytuację poprawić może jedynie lepsza jakość wód, udrożnienie rzek, udostępnienie tarłisk, a także racjonalna polityka rybacka oraz walka z kłusownictwem.

Troć wędrowną kształtem podobna jest do łososa, lecz nieco bardziej krępa, lekko bocznie spłaszczona, walcowata. Trzon ogona jest szerszy niż u łososa. Płetwa ogonowa u osobników młodocianych wcięta, a u osobników starszych zakończenie płetwy jest proste lub nawet wypukłe. W okresie tarła u samców na dolnej szczęce pojawia się hak, który nie jest tak wyraźny jak u łososa i nie jest zakrzywiony do tyłu. Cech charakterystycznych jest więcej. Są to jeszcze proporcje głowy, układ kości wieczka skrzelowego, itd.

Zarząd Okręgu Polskiego Związku Wędkarskiego w Słupsku od wielu lat prowadzi działania zmierzające do zwiększenia ilości ryb w rzekach, które dzierżawi od państwa. Występuje o zgodę na pozyskanie ikry w okresie ochronnym, gdy łososiom i trocie wchodzi na tarło. Zgodę taką wydaje Zarząd Województwa Pomorskiego. W 2006 roku PZW otrzymał pozwolenie



## Jaka ry

Naukowców cieszy fakt, że troć wędrowną zadomowiła się w rzece i coraz większe ilości ryb wchodzi do Słupi i płyną w jej górę na tarło. Wędrówkę i dalszy rozwój ryb umożliwiają przepławki oraz coraz czystsza woda. W 2006 roku na tarło ku źródłom Słupi popłynęło kilka tysięcy ryb. Nie dziwi zatem, że Słupia jest tak wielką atrakcją dla wędkarzy.

Zwierzęta żyjące w naturalnym środowisku są także obiektem szczególnego zainteresowania fizjologów. Ponieważ sztuczne zarybianie odrodziło populację troci wędrowną w Słupi, jest ona bardzo pilnie obserwowana przez zespół ekofizjologów: prof. Natalię Kurhalyuk, prof. Ewę Kulczykowską i dr Mariusza Kasprzaka. Dzięki bardzo owocnej współpracy biologów z Zarządem Okręgu Polskiego Związku Wędkarskiego w Słupsku możliwe stało się przebadanie kondycji ryb wędrujących na tarło i wracających do morza. Biolodzy prowadzą badania od



# osia

na pobranie 1 700 000 sztuk ziarenek ikry troci oraz 100 000 sztuk ikry łososia. Zgoda została wydana na pozyskanie ikry, przeprowadzenie sztucznego tarła, inkubacji zapłodnionej ikry i wyprodukowanie materiału zarybieniowego przeznaczonego do zarybienia obwodu rybackiego rzeki Słupi. Ikra jest inkubowana w Ośrodku Zarybieniowym PZW w Damnicy.

Celem zarybienia jest utrzymanie na dobrym poziomie populacji troci i łososia. Aby śledzić wędrówkę ryb Park Krajobrazowy „Dolina Słupi” zainstalował skaner, który liczy ryby przechodzące przez dwie przepławki w Słupsku w górę rzeki na tarliska oraz chipy, dzięki którym wiemy, w którym miejscu składają ikrę. Zarząd Okręgu PZW zainstalował kamerę podwodną a obraz z niej udostępnił poprzez łącza w Internecie. Na ten cel otrzymał dotację od prezydenta Słupska oraz firmy WMCNet.

Punkt odłowu łososi zakończył działalność 7 grudnia po uzyskaniu wymaganej ilości ziarenek ikry, a pozostałe ryby złowione, zostały wypuszczone przez dzieci ze Szkoły Podstawowej nr 2, do Słupi. Wiosną małe łososie zostaną wypuszczone na dopływach Słupi.

**Teodor Rudnik**  
Zarząd Okręgu PZW w Słupsku



# ba w wodzie...

dwóch lat i zamierzają ich wyniki zaprezentować w roku przyszłym. W 2005 roku przebadano stan zdrowia 100 egzemplarzy, w roku 2006 - 150. Prowadzenie badań na zwierzętach żyjących w środowisku naturalnym jest bardzo kłopotliwe - grudniowy czas badań wymaga przede wszystkim odporności na mróz a potem ogromnej cierpliwości w pracach laboratoryjnych. Dzięki współpracy ze związkami wędkarskimi naukowcy bez trudu otrzymali złowione, dla pozyskania ikry, egzemplarze.

Znacznie trudniej będzie uzyskać materiał do badania od ryb wracających do morza. Dr Mariusz Kasprzak postawił przed studentami zadanie zdobycia próbek od... wędkarzy, którzy pojawiają się nad rzeką po 1 stycznia, kiedy rozpoczyna się sezon łososiowego wędkowania. Wzdłuż całej Słupi naukowcy będą przekonywali wędkarzy, by udostępnił im materiał do badań. Naukowcom po-

maga 25 studentów skupionych w Kole Naukowym Fizjologów „Oksygen”, którzy bez protestów brną w lodowatej wodzie, albo na mrozie, pobierają rybom krew, łuski, skrzela, wątroby. Trudne jest zwłaszcza pobieranie krwi, bowiem trzeba wkluć się w naczynie krwionośne umieszczone pod kręgosłupem z zegarmistrzowską precyzją. Dzięki pobranym próbkom w laboratorium Zakładu Fizjologii Zwierząt przeprowadzone zostaną analizy, udzielające naukowcom odpowiedzi na pytania o stan zdrowia populacji troci ze Słupi, stopień zanieczyszczenia ryb metalami ciężkimi, aktywność enzymów antyoksydacyjnych. Wyniki badań zostaną zaprezentowane w 2007 roku. Wtedy też poznamy odpowiedź na pytanie – czy w Słupi żyją przysłówiowe, zdrowe ryby.

**Jolanta Nitkowska – Węglarz**  
Słupsk

*Wędkarze z całej Polski za punkt honoru uznają stawienie się 1 stycznia nad brzeg Słupi i zanurzenie w niej wędek, z nadzieją na złapanie troci o rekordowych wymiarach. Modna wśród wędkarzy łososiowa rzeka, stała się także obiektem naukowego zainteresowania pracowników Zakładu Fizjologii Zwierząt w Instytucie Biologii Akademii Pomorskiej w Słupsku.*





# Zjazd pod aniołami

*W Gminnym Ośrodku Kultury w Głobinie odbył się II Zjazd Oddziału Powiatowego Związku Ochotniczych Straży Pożarnych RP. Delegatów i gości przywitała orkiestra dęta OSP z Kępic. Sala GOK została udekorowana kolorowymi aniołami zawieszonymi pod sufitem.*

Zjazd otworzył ustępujący prezes ZO PZ OSP Zdzisław Kołodziejski. Orkiestra odegrała hymn państwowy. Zebrani delegaci minutą ciszy uczcili zmarłych strażaków, w tym byłego prezesa ZO PZ OSP Stanisława Kądziele. Wybrano przewodniczącego obrad, którym został Andrzej Krzywulski – wiceprezes Zarządu ZOP OSP oraz prezydium zjazdu.

Zanim przystąpiono do sprawozdania z pięcioletniej działalności związku (w latach 2002-2006) nagrodzono zasłużonych strażaków statuetkami i nagrodami rzeczowymi. Ustępujący prezes Z. Kołodziejski otrzymał symboliczny kordzik.

Delegaci na II zjazd zostali wybrani na zjazdach gminnych i miejskich OSP. W sumie wybrano 28 osób, w obradach uczestniczyło 26. Obszerne sprawozdanie wygłosił Z. Kołodziejski. Wynikało z niego, że w ocenianym okresie Związek dobrze realizował zadania statutowe i uchwałę programową I zjazdu. Był dobry klimat dla pożarników w lokalnych samorządach. Wybudowano kilka nowych strażnic. W kilku obiektach przeprowadzono remonty kapitalne. Jednostki OSP zostały wyposażone w nowy sprzęt gaśniczy, otrzymały też nowe mundury. Zakupiono sześć nowych samochodów bojowych. W sumie OSP w powiecie słujskim dysponują 81 samochodami gaśniczymi o różnym przeznaczeniu. Dobrze spisywały się one podczas akcji. W organizowanych zawodach sportowo - pożarniczych brała udział również młodzież, w tym zespoły dziewczęce. Uczestniczyła ona też w turnieju pożarniczym „Młodzi zapobiegają pożarom”.

Tylko w 2006 roku w powiecie przeprowadzono 589 akcji o różnym zagrożeniu pożarowym. Najwięcej wyjazdów było w gminie

Dębница Kaszubska (100) i gminie Kępice (88). Sporo jednostek gminnych jest już w krajowym systemie ratownictwa. Sześćdziesiąt jeden jednostek OSP zrzesza 1481 ochotników. W ocenianym okresie przybyło 138 nowych strażaków. Najwięcej jednostek OSP mają gminy Dębница Kaszubska i Słupsk – po dziesięć. W Ustce działa jedna jednostka, a w Damnicy – dwie.

Działacze OSP dużo czasu poświęcają szkoleniu. Organizowane zawody weryfikują zawodników, pokazują wszelkie braki w wyszkoleniu. Uczą rzemiosła strażackiego i podnoszą sprawność fizyczną strażaków. Na



zawodach wojewódzkich druhowie z OSP w Damnicy zajęli I miejsce, a drużyny z Kozymbia wywalczyły II lokatę na 26 biorących udział zespołów. W ogólnej punktacji powiat słupski zdobył I miejsce.

Po odczytaniu sprawozdań (także Komisji Rewizyjnej) przystąpiono do dyskusji. Zabierający głos ochotnicy też podkreślali, że kadencja upłynęła dość dobrze. Członek Zarządu Wojewódzkiego OSP, dh Stanisław Gajek z Kępic stwierdził, że ochotnicy z powiatu słupskiego dobrze prezentują się na tle ochotników z innych powiatów. - Kłopoty, zwłaszcza finansowe, mają wszyscy i są one podobne. Budżet centralny zbyt mało przeznacza funduszy na działalność OSP – mówił działacz OSP z Kępic.

Dh Andrzej Małyško – także z Kępic apelował o zwiększenie liczby drużyn młodzieżowych działających w ramach Międzynarodowego Komitetu Technicznego DS. W powiecie słupskim są tylko dwie takie drużyny – dziewczęca i chłopięca w OSP Kępice. - Uprawiają one bezpieczny sport z elementami pożarniczymi. Zakup urządzeń i sprzętu na ich potrzeby nie jest aż tak dużym wydatkiem, a korzyść jest duża – mówił ochotnik z Kępic.

Burmistrz Kępic Piotr M. Mazur apelował o wsparcie finansowe dla orkiestry dętej, która chętnie występuje na festynach strażackich i bierze udział w obchodach świąt państwowych.

W jawnym głosowaniu wybrano nowy zarząd. Nowym prezesem ZO PZ OSP na lata 2007 – 2011 został nowy starosta słupski Sławomir Ziemianowicz. Wybrano też sześciu delegatów na zjazd wojewódzki. Uchwałę programową oparto na dziesięciu najważniejszych tezach, które obowiązują wszystkie zarządy i jednostki na szczeblu gmin i powiatu w najbliższych pięciu latach.

**Jan Maziejuk, Słupsk**



# Uroczystości u sąsiadów

*Na dworze jesień  
na dobre się zado-  
mowiła i nikogo to  
nie dziwi, bo czas  
na złociste fruwają-  
ce liście wplecione  
w szarości pól jak  
najbardziej właści-  
wy. Przecież to ko-  
niec października.  
Wiatr też przejął*

*się swoją rolą i  
hula, zamiata uli-  
ce, puka do okien  
gałązkami drzew.  
Psotnik jeden tak  
się rozswawolił, że  
o mały włos nie ze-  
psuł nam imprezy,  
która odbyła się w  
Szkołe Podstawo-  
wej w Budowie.*

Otóż, 27 października 2006 roku obchodzono uroczystości 60-lecia owej placówki. Zaproszono wielu gości, przystrojono pięknie klasy. Z pomocą rodziców i przyjaciół szkoły przygotowano kiermasz prac ręcznych i poczęstunek.

Podczas uroczystych wystąpień dyrektora szkoły Gabriela Konkela, wójta gminy Dębница Kaszubska, Grzegorza Grabowskiego i radnego powiatowego, Eugeniusza Dańczaka, swoje szczególne wystąpienie miały dzieci z klasy Ib, które w tym dniu ślubowały być dobrym uczniem, grzecznym dzieckiem i uczynnym kolegą. Po ślubowaniu posypały się prezenty, podziękowania, życzenia...

Po części oficjalnej zaproszono wszystkich na kiermasz. Były stroiki, witraże, obrazki haftem malowane, świeczniki, aniołki i wiele innych pięknie wykonanych prac. Każdy mógł kupić coś ładnego na pamiątkę 60-tych urodzin. Tym, którzy chcieli wspomóc placówkę większą kwotą pieniędzy ułatwiono zadanie. Dyrektor G. Konkul brawurowo, w sposób dowcipny, z talentem aktorskim poprowadził aukcję

kilku prac, wśród których były dwa obrazki namalowane przez ucznia szkoły w poprzednich latach, Andrzeja Perlińskiego.

Była to dobra zabawa, wiele dowcipnych sytuacji na długo zapamiętają uczestnicy aukcji, jak też jej obserwatorzy. Prym wśród nabywców pamiątek wiedli: G. Grabowski, E. Dańczak, M. Bartosiewicz i R. Knitter. Chętnie zostawili swoje pieniądze w tymczasowej prowizorycznej kasie.

W jednej z klas na nauczycielskim biurku położono olbrzymią księgę pamiątkową, do której każdy mógł się wpisać z życzeniami, słowami refleksji, wyrazami sympatii. Na zakończenie pojawił się olbrzymi śmietankowy tort. Na stołach stały też inne smakołyki, udekorowane tak apetycznie, że niejednemu opory utrzymywania figury uleciały z zapachem palących się świec, które w tym czasie były nastrojowym akcentem.

A za oknem wiatr grał na drutach swoje sto lat na następne dni szkoły w Budowie.

**Aldona M. Peplińska**  
**Motarzyno**



# Zobaczyłem, co to jest piękno

*Przez dziesięć lat rysował ludziom na warszawskiej starówce portrety. Potem zapisał się na Europejską Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie. Oto, co sam mówi o sobie Wiesław Maruszak, który od kilku miesięcy mieszka w gminie Główczyce.*



Fot. E. Mielewczyk-Wilga

- Urodziłem się w Bodzentynie, a mieszkalem w Dębnie. Będąc w piątej klasie szkoły podstawowej zacząłem się interesować portretami i sztuką. W wieku trzynastu lat rysowałem już znane postaci z gazet. Pierwszy raz narysowałem na lekcji plastyki choinkę świąteczną, podszedł do mnie nauczyciel i powiedział, że moja choinka jest inna od pozostałych. Wygląda jak żywa. Od tamtej pory idę drogą portretu i malowania.

Po skończeniu średniej szkoły udałem się do Studium Plastycznego w Kielcach. Od 1990 roku należę do tamtejszego Towarzystwa Sztuk Pięknych. Przez pewien czas jeździłem do Sopotu i rysowałem tam portrety. Zauważył mnie przedstawiciel jednego z dystrybutorów filmowych i zatrudnił do projektowania okładek do kaset video. Po tych doświadczeniach udałem się na Europejską Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie. Podczas studiowania często wyjeżdżałem do Włoch i Niemiec. Tam też rysowałem portrety ludziom zarabiając w ten sposób

na dalsze studia i życie.

Na starówce w Warszawie rysowałem portrety ludziom przez około dziesięć lat. Portretowanie od dawna jest moim głównym zamiłowaniem. Wykonałem tych prac już kilka tysięcy. Będąc na studiach uczyłem się rysunku i malarstwa od takich wybitnych profesorów jak: W. Zin, F. Starowiejski, A. Fałat. Do dziś maluję też obrazy, ale całe moje dotychczasowe życie to oddanie się głównie portretowi.

Mieszkalem tam gdzie miałem pracę. Obecnie mieszkam na Pomorzu, dokładnie w Główczychach. Tutaj dopiero odkryłem, że piękno przyrody, natury jest czymś wyjątkowym. Zrozumiałem, że ulica z samymi ludzkimi twarzami nie dawała takich możliwości rozwoju talentu artystycznego, jakie daje natura. Wiem, że mój talent jest przeznaczony dla twórczenia piękna.

**Zanotowała:  
Edyta Mielewczyk-Wilga  
Główczyce**





W naszym domu był taki zwyczaj, że podczas świąt mama była zwolniona z obowiązków gospodar-skich, zajmowała się wyłącznie domem, a ściślej kuchnią przyrządzając nam przysma-ki. Ten zwyczaj wdrożyłam później i ja w dorosłe życie, będąc gospodynią w swoim gospodarstwie. Kiedy jesteśmy już wszy-scy w domu, odświętnie ubrani, zaczynają schodzić się goście – sąsiedzi, wujostwo, kuzynostwo. Wszyscy już są, zasiedliśmy do stołu, zjadamy się świątecznymi przysma-kami. Nagle słyszymy jakiś hałas, dzwoni-e, śmiech, śpiewy. Pies przy budzie omal nie wyjdzie ze skóry szczekając zawzięcie. Otwierają się drzwi i wpadają do mieszka-nia... kolędnicy. Gwiazda osadzona na kiju kreci się kolorowo. Diabeł czarny z krowim ogonem (skąd oni go wzięli?), z czerwonym jęzorem i rogami straszy dziewczęta, doska-kuje z widłami, obłapia brudnymi, usmaro-wanymi saszka rękami, próbuje całowania. Pisk, śmiech. Na podłodze pełno słomy, śla-dów butów, błota, śniegu. Ale co tam?...

Jako dziecko zawsze bałam się postaci Śmierci, bardziej niż Diabła. Śmierć z kosą ubrana w białe prześcieradło, z ogromnymi zębami, upiornymi oczodołami robiła na mnie wrażenie. Mogłam sobie tłumaczyć, że wszystkie postacie to przebrane chłopa-ki, ale co do Śmierci miałem inne wyobrażenie. Często potem w nocy męczyły mnie koszmary. Najdłużej kolędnicy doka-zywali tam, gdzie napotkali wiele młodych dziewcząt, a że na ogół na wsiach w świą-teczne wieczory dziewczęta zbierały się ra-zem chcąc sobie poplotkować, pośpiewać wspólnie kolędy, znajdowali obiekt swego szczególnego zainteresowania.

Z czasem dołączali do dziewcząt chłopcy, ktoś przyniósł akordeon i było wesoło. Młodzi chcieli się weselić, bawić. W tamtych czasach nie było na wsiach świetlic i dyskotek, jakie młodzi mają teraz. Kiedy dołączyli jeszcze przebierańcy, uciechom i śmiechowi nie było końca.

Prawdę mówiąc, to w każde święta czekało się na kolędników. Nie można było wyobrazić sobie Bożego Narodzenia bez wi-zyty „przebierańców”. Wspomnieniom, spe-kułacjom, kto był pod jakim przebraniem nie było końca. Długo to kolędnicze wydarzenie komentowano jeszcze po świętach.

Zdarzało się, że nie kończyło się na jednym występie, bo z innych wiosek przy-chodzili też kolędnicy. Była to okazja do za-robku. Dostawało się od gospodarzy datki za życzenia, a im były bardziej wymyślne, tym datki były większe.

W naszej rodzinie jest też, niestety inne jeszcze wspomnienie odwiedzin ko-lędników – bardzo smutne. W sieradzkiej wsi, skąd pochodziła moja mama, w roku 1918 przyszedł na świat mały chłopczyk. Urodził się tuż przed świętami. Kiedy rodzi-na już odeszła od stołu, po wigilijnej kola-cji, babcia moja chciała wykopać swojego małego synka. Nagrzała wody i wlała do

# Kolędnicy

## z Lubuczewa

wanienki. Rozebrała niemowlę i zanurzyła je w kąpeli. W tym czasie z hukiem otwo-rzyły się drzwi drewnianego domku i cała zgraja podpitych kolędników wtargnęła do izby. Wpadło też sporo zimnego, mroźnego powietrza, które owiało rozgrzane kąpielą dziecko. Długo portem chorowało na zapalenie płuc. Po długich cierpieniach zmarło. Po tamtym przykrym zdarzeniu moja bab-cia już nigdy nie miała dobrych wspomnień związanych z kolędnikami.

\*\*\*

Chodzenie z kolędą jest naszym sta-rym polskim zwyczajem. Dobrze, by zwy-czaj ten nie zaginął. Jeżeli będą tacy młodzi ludzie jak chłopaki od Bieleckich, Cekały i Drzeziuków z Lubuczewa – to na pewno nie zaginie! Zorganizowali się oni w grupę i już w pierwszy dzień świąt odwiedzali z kolędą wiele domów, budząc zachwyt i za-interesowanie. Znowu dużo emocji i niepo-koju, szczególnie wśród dzieci i młodzieży, swoim wyglądem i zachowaniem wzbudził Diabeł. Ale był też Aniołek, Muzykant. Byli Trzej Królowie. Sakiewka kolędników na-pełniła się dość obficie. Będzie to zachętą na przyszłoroczne kolędowanie.

**Henryka Jurałowicz-Kurzydło**  
**Słupsk**

*Pamiętam z czasów młodości taki obrazek: świąteczny wieczór, w domu ciepło, choinka skrzy się błyskami ozdób, „anielskich wło-sów”. Na dworze mroź-no, śnieg skrzypi pod nogami. Właśnie wró-ciliśmy z wieczornego obrządku w oborze. Po-mimo że to święta, trze-ba było nakarmić zwi-erzęta, wydoić krowy. Ale to już za nami. Umyci i przebrani w czyste ubra-nia zaraz zasiądziemy do kolacji, którą przygo-towała mama.*



# W kręgu sztuk i amator



*Jedno jest pewne, setka jest niekwestionowaną królową liczb, bo również nobilituje. Pewnie, że w świecie biznesu, gdy firmie stuknie już sto lat istnienia, w reklamie,*

*ale i w życiu codziennym, gdy setne urodziny rozpoczyna się życzeniem 100 lat potwierdzanym setką wódki, czyli szklanką, czyli 100 milimetrami. Gotów jestem z okazji jubileuszowych życzeń, kropnąć taką setkę dowodząc, że jest coś symbolicznego w liczbie zgłoszonych do jubileuszowego konkursu twórców.*

Z kronikarskiego obowiązku, choć złe to określenie, winno być powinności, która należy się organizatorom, przypadł mi zaszczyt opisanie wrażeń z ważnej, powiatowej imprezy z kręgu sztuki ludowej i amatorskiej Pomorza pn. „XV Konkurs sztuki ludowej, rękodziela i plastyki amatorskiej Pomorza, Słupsk 2006”. Impreza organizowana tradycyjnie od trzydziestu lat przez Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku, w bieżącym roku jubileuszowa, objęta była patronatem Marszałka Województwa Pomorskiego, władz powiatowych i miasta Słupska, zaangażowała wielu sponsorów, burmistrzów, firm i dyrektorów. XV edycja konkursu pracowicie przygotowywana przez pracowników Działu Etnograficznego już od maja tego roku, we wrześniu zawocowała zgłoszeniami do konkursu 511 prac przez 100 twórców.

Zanim się rozpiszę, zwracam uwagę na tę symboliczną setkę ludzi. Bo sto to w naszej cywilizacji liczba kultowa, znana ogólnie ze znaczeń związanych z matematyką, astronomią, miarami odległości lub wag. To liczba ideał przepychająca się, rozpychająca w świecie, zmieniająca i ewoluująca od czasów starożytnego Babilonu systemem dziesiętnym, praktycznie setnym, od VI w. p.n.e. i rzymskich czasów (centurie), krucjaty (setnicy) itd., to oddzielny temat do rozważań przez... etnologów, etnografów, choć niekoniecznie naszych słupskich muzealników.

Jedno jest pewne, setka jest niekwestionowaną królową liczb, bo również nobilituje. Pewnie, że w świecie biznesu, gdy firmie stuknie już sto lat istnienia, w reklamie, ale i w życiu codzien-

nym, gdy setne urodziny rozpoczyna się życzeniem 100 lat potwierdzanym setką wódki, czyli szklanką, czyli 100 milimetrami. Gotów jestem z okazji jubileuszowych życzeń, kropnąć taką setkę dowodząc, że jest coś symbolicznego w liczbie zgłoszonych do jubileuszowego konkursu twórców.

Ten wtręt o magii liczby 100 jest głębokim pokłonem przed organizatorami, etnografami, podziękowaniem za trud i wysiłek w utrzymywaniu ciągłości konkursowej. Życzę muzealnikom 100 lat zdrowia, kondycji i cierpliwości, dotrwania do setnej edycji konkursu, no, może 50-tej, no, chociaż 25-tej, a cyklu nie dwuletniego a corocznego. To przecież logiczne z punktu widzenia liczb 1, 10, 100, a czy realne? Przekonany jestem, że tak, o czym za moment.

Trochę trudno mi pisać o uroczystości, bo nie jestem obiektywnym obserwatorem skądinąd święta twórców ludowych. Sam zgłosiłem swoje prace na szkłe malowane i grawerowane i... nie dostałem nagrody.





# ki ludowej skiej Pomorza

Ale szczerść, za szczerść, szczerść za obiektywizm. Ogromnie się cieszę, że na moich dziesięć prac szacowne Jury uznało, że siedem należy powiesić w sali wystawowej do publicznego oglądu. Było nie było, spełnił się mój plan twórczy i moje skromne oczekiwania. W końcu na słupskiej ziemi funkcjonuję dopiero od... jednego roku, a każdy twórca ucząc się, wyciąga wnioski z pracy i błędów innych, konkurentów i czystości etnograficznych kryteriów.

Wróćmy do początku, do godziny 12.00 w dniu 18 października, bo o tym czasie rozpoczęła się uroczystość podsumowania wyników konkursu. Ogłoszono laureatów, przedstawiono nagrodzonych twórców - amatorów, nieprofesjonalistów. Parę chwil przedtem, jak obserwowałem, do Sali Rycerskiej napływali goście szczerze ją z każdą chwilą wypełniając tak skutecznie, że zajęto wszystkie siedzące miejsca. Za siedzącymi, głowa w głowę stali kolejni goście dopełniając salę i korytarz.

Oczekującym towarzyszył muzyką i

śpiewem zespół regionalny, rodzinny, „Modraki” z Parchowa. Atmosfera była gęsta, w mroczku dużej sali z zasłoniętymi kotarami oknami, ale zbyt małej i ciasnej jak na ilość zebranych, rozglądałem się wokół. Stojąc na końcu widziałem postaci z tyłu i myślałem sobie, w ilu z tych, w zdecydowanej większości starszych wiekiem osób, pewnie wielokrotnie stających w szranki konkursowe twórców amatorów można dopatrzeć się Ociepków, Nikiforów czy Stasiów Zagajewskich - twórców znanych w Polsce za życia i po śmierci (dłubiący w glinie Zagajewski żyje pod opieką Działu Sztuki Muzeum Regionalnego we Włocławku, ale już nie tworzy).

Nie bez kozery wspominam takie nazwiska, bo każdy konkurs może obrodzić odkryciem talentu na miarę w/w twórcy, bliskiego im mentalnie, stylem i sposobem życia, rozumienia świata i ludzi, swoistego objawienia i nawiedzenia, a także odrzuconego czy nie rozumianego, inności człowieka tworzącego jednak w sposób charakterystyczny,

czytelnie czysty i naiwny z prostotą i umysłem dziecka.

Czy były skarby twórcze, objawienia cenne etnograficznie? Ogłoszono, że w wyniku pracy Jury, złożonego z czterech etnografów i artysty plastyka, po ciężkiej pracy i trudnej weryfikacji wyodrębniono 51 prac, honorując wyróżnieniem 24 twórców, nagrodą III stopnia - 12-tu, II stopnia - 8-miu, I stopnia - 6-ciu i nagrodą specjalną jedną osobę;

każdy wystawca nie nagrodzony otrzymał okolicznościowy dyplom.

Pewnie, że nagrody imienne były istotne również od strony kopertowego wzbogacenia, niemniej, przynajmniej dla mnie istotnym było to, że wystawowo, tyle, że na poziomie powiatu przekroczone granicę konfrontacyjną, barierę strachu, wstyd i odwagi zmierzania się z odbiorcą oglądającym, komentującym i oceniającym.

Świadomie i z rozmysłem nie przywołuję żadnych nazwisk ani organizatorów, ani sponsorów, ani tym bardziej twórców. Życzyłbym sobie, by ten skromny opis dużego, kulturalnego wydarzenia, choć bez osobistego udziału przedstawiciela Urzędu Marszałkowskiego - głównego patrona imprezy, był przyczynkiem do nasycenia zmysłów i wrażeń przez ludzi - wizytujących salę wystawową na II piętrze Zamku Książąt Pomorskich.

Chciałbym, aby tak jak tłum głównych aktorów XV Konkursu, twórców sztuki ludowej, rękodzielników i plastyków, malarzy, po oficjalnej części przeszedł tłumnie do trzech sal wystawowych, tłumy, choć tłumiki słupszczan obejrzały wystawę pokonkursową. Jak można się rozeznać w folderze, w pierwszej salce wyeksponowano całą gamę pomysłów hafciarskich i koronkarskich. Ściany drugiej sali uderzają feerią barw, kolorów i formatów płócien malarzkich, trzecia wita rzeźbami i skromnie ceramiką, plastiką obrzędową i dekoracyjną, plecionkami i zabawkami.

Każdy zwiedzający znajdzie coś dla duszy i uciechy, od prozaicznego motyla i kaczkę z jarmarku rodem, klapiącymi przy ruchu skrzydłami czy łapami do małej kamiennej rzeźby żaby, świątka i ptaka z drewna. Na płótnach odnajdzie pejzaż wiejski z domem szachulcowym w tle, końskie głowy, kwiaty, martwą naturę i wiele, wiele innych motywów. Sam oceni pracę autora nagrodzonego wiszącą obok pracy autora dyplomowanego.

Kolorowy folder kosztuje tylko 1 zł lub... 100 gr. Tych sto groszy przyda się Muzeum. Dlaczego? Jeśli przyjąć dane z Biuletynu Statystycznego Województwa Pomorskiego za I kwartał 2006 roku i Urzędu Statystycznego w Gdańsku, zwiedzających trzy muzea było 106,8 tys. osób. Jedna trzecia tych zwiedzających została w kasie Muzeum, rocznie 35 600 zł, a miesięcznie 2 966,6 zł. Ta kwota, nawet, jeśli w interpretacji danych GUS ciężko się myśle, wystarcza ledwo na dwanaście kopert dla wyróżnionych. Dżentelmeni o pieniądzech nie rozmawiają, ale ja będę dalej drążył temat.

Dziś w rynkowych realiach nawet Muzeum organizujące konkurs, nawet raz na dwa lata musi zadbać o finansowe uatrakcyjnienie imprezy. Zgodnie z zasadą, że im więcej i im wyższe nagrody - tym jej wyższa ranga podnoszona przez większą liczbę zgłaszających swój udział, w tym twórców lepszych, młodych i ambitnych, zdolnych.





W tym większa szansa dla Jury na wyłuskanie indywidualności, odkrycie atrakcyjnych prac w formie, treści, pomysły, etnograficznej czystości. Początkowe kłopoty z pozyskaniem sponsorów sygnalizowała w słowie wstępnym p. Komisarz Wystawy, ale trudne zabiegi o mecenasów sztuki powiodły się. Stąd 51 osób, po konkursie, może do kolejnych prac uzupełnić materiały, narzędzia, tworzyć dalej. Pewnie się nie pomylę, ale każdy twórca ma nadzieję, że wytwory jego rąk prędzej czy później znajdą nabywcę, choć krajobraz rynkowy i mus traktowania każdego wytworu ze sfery artystycznej jako towar, od udanej pamiątki do dzieła sztuki, jak dotąd nie zmienia się. Nie wiem czy więcej jest twórców profesjonalnych i amatorskich, czy właściciele firm w swoich halach, biurach, salach, w obiektach i lokalach usługowych. Dlaczego to twórca musi zabiegać by ściana w bile lokalu zamieniła się w mini galeryjną ściankę reklamując autora zawieszonych prac, a splendor przynosząc właścicielowi odbieranemu jako mecenasu sztuki, wielbiela koni, kwiatów czy marynistyki?

Dlaczego tej relacji autor – wystawca nie da się odwrócić? To dowodziłoby, że zapanowała moda na twórczość i mecenasostwo, a te wzmogłyby aktywność wspierającą przedsięwzięcia natury artystycznej przez duże i małe „a”. Podobno w Niemczech funkcjonuje wiele prywatnych galerio-kafejek, herbaciarnio-galerii czy winiarnio-galerii, w których systemowo nakręca się koniunkturę dla handlu wytworami sztuki jak i towarem kawiarnianym z obniżonym podatkiem. Taka zasada mi się podoba: chcesz taniej zjeść ciacho i wypić kawę – wejdź do lokalu z salą galeryjną, bo tu dodatkowo zakupisz atrakcyjny prezent – produkt znanego twórcy, o którego pracce zabiega właściciel.

Daleka droga do podobnego systemu w polskich warunkach, bo dotyczy fiskalnych przepisów i generalistów dochodowych budżetu Państwa, a nie mikro interesów i small businessu jego obywateli. Jednak o systemowym rozwiązaniu piszę dalej. Według mnie, mówienie o systemie, to nadużywanie tego pojęcia: Muzeum rozpoczyna akcję konkursową i pozyskuje twórców i pieniądze na nagrody, rozlicza akcję honorując twórców i akcję kończy wystawą otwartą dla publiczności do 3 grudnia br. W miarę posiadanych funduszy wzbogaca swoje muzealne zasoby o cenne etnograficzne eksponaty a twórcy zabierają swoje prace, pewnie średnio po 8-10 sztuk do domów. Koniec akcji. A, jeszcze sponsorzy wieszają pewnie w gabineciech dziękczynne pisma Muzeum za pomoc, fundusze, zrozumienie.

Opisałem tu system na akcję, w którym po jego zakończeniu, stu autorów zabiera zabawki i wraca do Bronowa, Dubeczna, Kartuz, Janowic, Kaliska czy Bierkowa, do dwudziestu ośmiu siedlisk i domowych



warsztatów, co smutne, tracąc na dwa lata kontakt z Muzeum.

W systemie, o którym myślę, Muzeum pilnuje klasy a nie kasy twórców, nie zabiega o sponsorów konkursu, bo to domena mecenasów, którym zależy na udowodnieniu własnej dojrzałości i zrozumienia systemowej, ciągłej dbałości o kulturę, podwyższanie kryteriów jakościowych, hołubienie twórców, dawanie szans nazwiskom, które na mecenasów zasługują. W grudniu 2006 salę wystawową, pokonkursową odwiedzają przedstawiciele podmiotów gospodarki narodowej powiatu słupskiego chociażby: 7853 posiadających REGON, 1860 osób prawnych i jednostek organizacyjnych, 37 spółdzielni, 358 spółek handlowych, z udziałem kapitału zagranicznego 657 spółek cywilnych, 5993 osób fizycznych prowadzących działalność gospodarczą.

Było nie było, po zsumowaniu jest tego 16 786 jednostek finansowych, potencjalnych petentów do współpracy z Muzeum Pomorza Środkowego, z którego promieniują dobra nieprzeliczalne na grosz, wartości wyższe. Tylko 10 proc. tej liczby to 1687 sponsorów. Według systemu dziesiątego może być 1 proc., to 168 sponsorów razy 1, 10, 100 zł to już duża kwota 1680, 16 800 zł. Czy jest to racjonalna recepta dla tradycyjnie „piłowanych” dawców, czy tylko karkołomny pomysł na systemowy standard? Uważam, że to drugie, ale... ten rynek, ten towar i produkt, te ulgi...

Statystyka jest wredna, bo dowodzi również istnienia innego problemu, a mianowicie białych plam kulturowych w części gmin powiatu. Tak jakby w gminach nie było małych sołeckich artystów, rękodzielników, etc. Otóż na konkurs zjechało stu twórców z dwudziestu ośmiu miejscowości, w tym z trzynastu z powiatu słupskiego, a z piętnastu z różnych części województwa pomorskiego.

Z dziewięciu gmin powiatu uczestniczyło 26 osób, a z miasta Słupsk - 33 osoby. Gminni twórcy wzięli osiem nagród, twórcy ze Słupska siedemnaście nagród. Osobowo, poza Słupskiem, były gminy szczególnie aktywne: Ustka, Kępice, Kąlejsk, Smołdzino reprezentowane przez kolejno 8, 6, 4 i 4 osoby. Z pozostałych pięciu gmin uczestniczyło po 1 lub 2 twórców, łącznie tylko 4 twórców. Tu charakterystycznym jest, że z gmin, które trząchnęły nagrodowym groszem były duże grupy twórców. Nie chodzi mi o taką czy inną interpretację danych przy możliwej, liczbowej pomyłce, nie chodzi o liczby, czy o to, że 41 twórców spoza powiatu otrzymało 26 nagród, co może dowodzić racjonalnego i uszczęśliwiającego wszystkich klucza.

Chodzi o skalę otwartego problemu wielu gminnych środowisk obojętnych na kulturę i samorządów dziwnie tolerujących taki stan zastoju. Pozostawiam państwa z tymi otwartymi problemami. Choć peanu na cześć organizatorów i imprezy nie napisałem, trzymam za etnografów kciuki życząc Muzeum wielu tysięcy zwiedzających wystawę. Piszę te słowa mile wspominając smak poczęstunkowego kołacza z omastą i ogórka oraz bułki razowej, rogala z makiem i szklankę kwasu chlebowego. Tym również etnograficznie uzasadnionym daniem powinno się poświęcić odrębny artykuł.

**Czesław Guit, Lubuń**

*PS. Gnębiło mnie, że o godz. 13.55 w sali wystawowej spotkałem tylko jednego zwiedzającego. Coś z symbolu w tym jest, że w ciszy i spokoju wolniutko przechodził z miejsca w miejsce od dzieła do dzieła, kontemplujący prace starszy pan, jak się okazało uczeń zakopiańskiej kenarówki, profesjonalny plastyk, rzeźbiarz i malarz, pan Jerzy Stroński z Ustki. Zabrakło mi, jak na wernisażu, grup i grupek rozmawiających i oglądających kameralnie, a nie w tłumnej gorączce swoje i znajomych prace, uczestników. Po atrakcyjnym, na ludową modłę, poczęstunku, ludzie rozjechali się do odległych często domów, trochę za szybko. I oświeciło mnie, spadłem z obłoków na twarz. W euforii radosnych wrażeń pokonkursowych to ja zapomniałem, że płatne miejsce postojowe, blisko Zamku, wymaga po dwóch godzinach uaktualnienia. Do 30 listopada, dnia wypłaty trochę daleko, grozi mi mandat 15 zł a może komornik. Tą smutną refleksją kwituje fakt, że słupski sponsor zrobił i robi swoje. Z tego wszystkiego zapomniałem odebrać dyplom uczestnictwa.*

# Pod choinką z samowarem

*Potem były już same przyjemności.*

*Bo ojciec pozwalał uczestniczyć w codziennych domowych pracach - tych męskich. Wyciąganie wody ze studni, naprawa płotu, zbijanie drabiny i kto tam by wszystko spamiętał. Frajda była przy piłowaniu drwa. Siadało się wtedy na kłodzie, która leżała w specjalnym urządzeniu zwanym koziołkiem i słuchało, jak gra piła, śledziło oczami jej ruchy. Tam i z powrotem, tam i z powrotem, tam i z powrotem...*

Stoi na półce od lat niewykorzystany. Czasem tylko dotknie go ścierka, by zetrzeć kurz. Zresztą, co to za samowar? Elektryczna atrapa, stoi dla ozdoby, a nie po to by dostarczyć na stół smacznej wody do herbaty. Prawdziwy, mosiężny, mocno nadwężony stoi na wystawie w dawnej Desie. Tamten z domu mojego dzieciństwa, też bardzo stary, tulski jeszcze pamiętający czasy powstań, pozostał na Kresach. Czekał pod opieką babci aż przyjadę i go zabiorę. Władze sowieckie jeszcze w latach pięćdziesiątych nie pozwoliły go zabrać jako zabytku. Do Chruszczowa pisaliśmy - nie pomogło. Przemycić można było złoto, ale tulskiego samowara - nie.

Samowar towarzyszył mi przez całe kresowe dzieciństwo. Już od wczesnego popołudnia co najmniej dwie służące przygotowywały go do stołowej służby. My, dzieci, miałyśmy wiele uciechy przyglądając się tym zabiegom. Bo naprzód musiały go wyczyścić sidolem, by błyszczał na stole. (Sidol, to było popularny płyn do czyszczenia mosiądzu. Jeszcze w czasie powstania warszawskiego na czołgi niemieckie rzucano sidolówki, to znaczy blaszane puszki po sidolu wypełnione płynem zapalającym). Umorusane myły się potem w szafliku, by teraz zabrać się do czynności rozpalań. To było najciekawsze, bo efektowne. Po wrzuceniu kilku łopatek rozpalonych węgli wygarniętych z kuchennego paleniska kucały wokół samowara na podwórzu i zawzięcie dmuchały do środka samowarowego paleniska. Zabawa była pyszna, bo dziewczyny miały twarze czarne od sadzy, wyglądając jak Murzynek Bambo ze szkolnego podręcznika, co w Afryce mieszka, czarną ma skórę ten nasz koleżka. My, uczniowie najmłodszych klas (pewnie i dzieci starsze) zbieraliśmy pieniądze na tych biednych Murzynków.

Na saniach wracała matka z pracy w szkole w Pietralewiczach, niedalekiej wsi. Rano przyjeżdżał chłopskimi saniami - podwodą któryś z wieśniaków, wyznaczony w ramach szarwarku. Matka z rozbawieniem opowiadała później o tej kilkukilometrowej codziennej podróży. W połowie drogi, kiedy wspinała się pod górę, koń zatrzymywał się. Nie pomagały razy z bata, ani zachęty. Kiedy matka schodziła z wozu, koń ruszał. Kiedy na wóz siadała, zatrzymywał się. Podróż odbywała się w miarę gładko, gdy woźnica dostał wódkę, tzw. kruczka, inaczej mówiąc setkę. Uczciwie z koniem się

dzielił. Ta wieś, Pietralewicz, zyskała sobie ponurą sławę. W czasie okupacji Niemcy zamordowali tu ponad czterdzieści tysięcy ludzi, w tym Żydów zwiezionych z całej Białorusi. Matka niewiele się nami zajmowała. Kuchnia stawała się jej najważniejszym miejscem.

Potem przychodził ojciec. Odbywało się przedstawienie z udziałem tzw. pieska, czyli deseczki odpowiednio przyciętej i skonstruowanej do ściągania i a butów.

Jednego z nich używano do rozpalań samowara. But nakładano na komin i stopą tłoczono powietrze do paleniska. Po przyjemności oglądania tych czynności nadchodził czas na podsumowanie naszego zachowania w ciągu dnia.

Służąca, która pełniła funkcję niania zdawała ojcu relację, a każdy element był kwitowany gólkę. I za raportu pasem na dio samowolnie włączone w porze nieodpowiedniej i za wylany kubek mleka i za... ot, za wszystko co się zdarzyło, potem do stołu. Kiedy zupa była za gorąca, słyszało się uwagę masz wiatr pod nosem, kiedy się coś głośno powiedziało przy stole jak w kościele. A nie daj Boże upuścić chleb na podłogę! Należało go podnieść, ucałować i do końca obiadu klęczeć koło





stołu. Rwetes był przy krupniku. Dobiegam osiemdziesiątki, a krupniku unikam. Wyjątek robię dla krupniku litewskiego. Ten uwielbiam!

Potem były już same przyjemności. Bo ojciec pozwalał uczestniczyć w codziennych domowych pracach - tych męskich. Wyciąganie wody ze studni, naprawa płotu, zbijanie drabiny i kto tam by wszystko spamiętał. Frajda była przy piłowaniu drwa. Siadało się wtedy na kłodzie, która leżała w specjalnym urządzeniu zwanym koziołkiem i słuchało, jak gra piła, śledziło oczami jej ruchy. Tam i z powrotem, tam i z powrotem, tam i z powrotem...

Nadchodził wieczór. Zapalano lampę nad stołem osłoniętą wielkim abażurem, wtedy nazywał się ambrą. Stół był wielki dwunast osobowy, zakupiony w żydowskim składzie meblowym Poreckich. To był wielki skład z fabryką i tartakiem. Wszyscy razem ze służbą siadali przy nim. Wtedy już nie obowiązywała maksyma, iż jak w kościele. Wolno było mówić, tyle że nie wolno było wtrącać się do rozmowy dorosłych, bo dzieci i ryby głosu nie mają. Grano w lotto, w durnia i wojnę, a dorośli w tajemniczego preferansa. Przez wiele dorosłych lat próbowałem odnaleźć opis tej gry, wreszcie znalazłem u Pijanowskiego, ale tajników preferansa nijak nie pojąłem. Znikł wraz z całą kresową obyczajowością, kresowymi dworami i kresowymi ludźmi. Kiedy woda kończyła się w samowarze, lampa dogasała, składano karty, lotto i chińczyka. Jeszcze tylko siusiu do nocnika, pośpiesznie i starannie (nie daj Boże się pomylić, bo trzeba zaczynać od nowa) wymruczana modlitwa „Aniele Boży, stróżu mój, ty zawsze przy mnie stój. Rano w wieczór, w dzień i w nocy, bądź mi zawsze ku pomocy. Amen”.

W wigilię nie było nic z tych rzeczy. Nawet przy rozpalaniu samowara nie wolno nam było asystować, a cóż dopiero wejść do pokoju jadalnego, wtedy zwanego paradnym. Tam się działy rzeczy tajemne i były tajemnicą do ostatniej chwili, to jest do momentu, kiedy mogliśmy z radością krzyknąć: już, już!!!, co znaczyło, że siedząc w innym ciemnym pokoju przez kilka kwadransów, dojrzeliliśmy na niebie tę Pierwszą.

Otwierano pokój paradny, ojciec, matka i służba stoją odświętnie ubrani koło choinki błyszczącej kolorowymi świecami, a na stole na środku - opłatek. Pod Samowarem!

**Zdzisław Stankiewicz, Słupsk**

**jedyny w dziejach kościoła i wojska polskiego generał broni w sutannie**



## Świąteczne prz o duszpasterzu - leg

Urodził się i wychował pod Żninem w średnio zamożnej rodzinie chłopskiej. Ani on, ani współdomownicy nie sądzili, że będzie kiedyś księdzem. Przede wszystkim – z braku pieniędzy na studia. W dwudziestym pierwszym roku życia tam, w Bydgoskiem, dopada go faszystowski Drang nach Osten. Wcielony do wojska, uczestniczy w kampanii wrześniowej. Po klęsce Polski czmycha na Zachód – do sojuszniczej, suwerennej jeszcze, będącej tymczasową siedzibą rządu RP, Francji. Zostaje wolnym słuchaczem paryskiej Sorbony, w której robi dwa fakultety, m.in. teologię. Nie przerwie tej edukacji nawet, gdy Hitler odbierać będzie przy Łuku Triumfalnym paradę zwycięstwa, gdy kolaborant Pétain ogłosi kapitulancie zawieszenie broni, gdy Wehrmacht zajmie Francję jak długa i szeroka.

Przedtem, 14 maja 1940 roku, bierze udział – w szeregach Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich generała Z. Szyszko-Bohusza – w lądowaniu i półtoramiesięcznych walkach korpusu ekspedycyjnego wojsk sprzymierzonych z armadą hitlerowską pod Narvikiem w północnej Norwegii. 3-8 czerwca, w związku z bardzo ciężką sytuacją na froncie francusko-niemieckim, brygada Bohuszowców wraca

nad Sekwanę. Stacza z marszu krwawe boje w Bretanii, tak jak 1. Dywizja Grenadierów Polskich gen. B. Ducha w Lotaryngii, 2. Dywizja Strzelców Pieszych gen. B. Prugara-Ketlinga w Alzacji, 10. Brygada Pancerno-Motorowa gen. S. Maczka w Szampanii, polskie lotnictwo myśliwskie – razem 84,5 tys. żołnierzy WP z głównodowodzącym gen. Sikorskim – w obrębie całej Francji. Na nic wszystko. Rząd Vichy, jako się rzekło, poddaje kraj agresorom...

Spółeczeństwo jednak nie składa broni. Jeszcze w czerwcu 1940 roku powstaje Komitet Wyzwolenia Narodowego, który tworzy formacje zbrojne pn. Wolna Francja (Francja Walcząca) oraz oporu (Résistance, FIPF) z polską Organizacją Walki o Niepodległość, od roku 1944 wchodzącą w skład armii francuskiej gen. de Gaulle'a, a jako jego integralną częścią. W szeregach POWN młody żninianin toczy dalej walkę z zaborcą ojczyźnej ziemi. Jest cztery lata oficerem łącznikowym do zadań specjalnych z ramienia wspomnianej organizacji partyzanckiej France-Tireurs et Partisans Française. W czterdziestym czwartym – uczestnik ogólnonarodowej batalii wyzwolenczej. Dane mu było m.in. brać udział – jako żołnierzowi tzw. tyłów – w historycznej ope-





# Wzrostanie gendzie

racji wojsk alianckich gen. Eisenhowera w Normandii. W uznaniu tych zasług 26-letni pułkownik Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie Bernard Witucki zostaje awansowany – rzecz bez precedensu – do stopnia generała brygady. Za okazywane męstwo i odwagę otrzymuje także – wówczas i w Dniu Zwycięstwa – wiele najwyższych odznaczeń bojowych, żeby wspomnieć bodaj: Krzyż Virtuti Militari V klasy, Krzyż Walecznych, Złoty Krzyż Zasługi z Mieczami, Krzyż Kawalerski Legii Honorowej, Wielkie Krzyże Św. Michała i Św. Jerzego, Interaliancki Krzyż Zasługi Wojskowych, medal wojenny gen. D. Eisenhowera. Także tytuł szlachecki (!) przyznany przez króla W. Brytanii Jerzego VI.

Stał wtedy u szczytów błyskotliwej kariery żołnierskiej. Bez emfazy można by powiedzieć: buławę marszałkowską miał w zasięgu ręki. Nikt przecież, jako dwudziestosześcioletek (sic), nie nosił na ramionach szlifów generała. Witucki jednak – przede wszystkim w podzięce za to, iż jego Pan spełnił wojskową prośbę „Strzeż mnie, o Boże. Tobie zaufałem” – postanowił zostać... duchownym. Tuż po zakończeniu wojny przyjmuje (diakon) święcenia kapłańskie. Los rzuca go w różne krańce

Polski. Małą stabilizację osiąga na przełomie minionej siódmej i ósmej dekady w Miastku. Przez piętnaście lat pełni duszpasterskie obowiązki w tamtejszej parafii (z wizytami w Koczale, Trzebielinie i związanych od niedawna z naszym powiatem Kępicach). Ostatnie dziesięciolecie spędza – jako emeryt – w zaciszu swej samotniczej księżówki przy ulicy Słonecznej 18 a. W urządzonej własnym sumptem i staraniem maleńkiej, osobistej kaplicy odprawia ciche msze, wierny swej dewizie: „Spotkamy się wszyscy – prędzej niż myślimy – w domu naszego Ojca”... Jedynym, z którym u progu jesieni życia łączyły go stałe, serdeczne kontakty, był współtowarzysz wojennej niedoli (m.in. więzień KL Auschwitz-Birkenau), ówczesny ordynariusz diecezji koszalińsko-kołobrzesckiej, od wielu lat biskup senior tej diecezji – ks. Ignacy Jeż.

\*\*\*

Przeszedł arcytrudną drogę w wybranym przez siebie, koniec końców, kapłaństwie. Bo – zarzucała mu bezpieka – ander-sowiec, powiernik PSZnZ i AK, zdeklarowany antykomunista. Fakt, takim był – zwłaszcza w okresie tzw. utrwalania władzy ludowej. Był wszak nade wszystko żarliwym patriotą, orędownikiem polskości północno-zachodnich rubieży III Rzeczypospolitej, kreatorem i krzewicielem obywatelskiej postawy. Jak rzekłby jeden ze znanych poetów, „kochał bezwstydnie swój kraj”. Wymagał dużo – mówią ci, którzy się z nim zetknęli – od siebie, w pierwszym rzędzie od siebie, ale i od innych. Osobiście zapamiętałem takie zdarzenie z drugiej połowy lat siedemdziesiątych: O siódmej rano, wraz z kolegą – fotoreporterem, spotkałem go przed lokalem wyborczym.

- Ksiądz prałat jeden z pierwszych?.. - nagabnąłem.

- Oficer musi zawsze być tam, gdzie jego żołnierze – odparował z właściwą sobie generalską swadą. – A ponadto – dodał – norwidowskie „Ojczyzna to wielki, zbiorowy obowiązek” nie straciło dzisiaj wcale na aktualności!

\*\*\*

Notuję wszystko w czasie przeszłym, gdyż jedyny w dziejach Kościoła i Wojska Polskiego generał broni w sutannie, pierwszy prawdziwy ksiądz-generał Rzeczypospolitej, „wzór cnót pełnokrwistych synów Odrodzonej” – jak stwierdził działacz Towarzystwa France-Pologne – przeszedł już AD 1993 z Miastka na wieczną żołniersko-duszpasterską wartę. Prawie niezauważenie. Jak hołubił – on, do końca życia tylko prałat z buławą marszałkowską w kieszeni sutanny – w zamkniętej przed ziemskim światem, samotniczej księżówce...

Daruję mi przynajmniej Biskup Senior tę własnowolną, nazbyt może od sacrum odległą dywagację?

**Jerzy Ryszard Lissowski, Słupsk**

*W uznaniu zasług 26-letni pułkownik Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie Bernard Witucki zostaje awansowany – rzecz bez precedensu – do stopnia generała brygady. Za okazywane męstwo i odwagę otrzymuje także wiele najwyższych odznaczeń bojowych, żeby wspomnieć bodaj: Krzyż Virtuti Militari V klasy, Krzyż Walecznych, Złoty Krzyż Zasługi z Mieczami, Krzyż Kawalerski Legii Honorowej, Wielkie Krzyże Św. Michała i Św. Jerzego, Interaliancki Krzyż Zasługi Wojskowych, medal wojenny gen. D. Eisenhowera. Także tytuł szlachecki (!) przyznany przez króla W. Brytanii Jerzego VI.*

*(Z wydanej niedawno książki pt. „Żywa legenda regionu nad Słupią”, rozdz. „Zamyślenia nad pewnym życiem i śmiercią. Z buławą marszałkowską w kieszeni... sutanny”.)*

Dzięki opłaceniu przez marszałka województwa pomorskiego Jana Kozłowskiego przejazdu autokarowego, Magdalena Kapiszka – pracownica Oddziału Stowarzyszenie Naukowo - Technicznego Inżynierów i Techników Rolnictwa w Słupsku mogła uczestniczyć z grupą przedstawicieli innych organizacji pozarządowych w organizowanych w Brukseli warsztatach „OPEN DAYS – WEEK OF REGIONS AND CITIES. Podczas tego pobytu dowiedziała się, że znany polski naukowiec z Pomorza, dr Rudolf Wilczek, zastępca dyrektora dla belgijskiej Polonii, był bliskim krewnym jej męża.



# Polskie śl

Tematem przewodnim warsztatów były „Inwestycje w Europejskie Miasta i Regiony, ze szczególnym uwzględnieniem publicznych i prywatnych inicjatyw przyczyniających się do wzrostu gospodarczego i tworzenia nowych miejsc pracy”. Organizatorzy przygotowali 80 seminariów i warsztatów. Odbływały się one w Brukseli, w ramach „Europejskiego Tygodnia Miast i Regionów”. Po raz pierwszy zorganizowane zostały także tzw. „zdecentralizowane” konferencje i wystawy w poszczególnych krajach członkowskich.

Było to wielkie spotkanie robocze, obejmujące szeroką tematykę i bardzo różnych uczestników. Ze Słupska wzięli w nim jeszcze udział: Mariusz Krajewski (Towarzystwo Pomocy im. św. Brata Alberta), Kamil Wysocki (Słupskie Stowarzyszenie Footbagu), Karolina Modrzejewska (Studenckie Stowarzyszenie Wolontariuszy im. J. Korczaka), Patryk Rozental (Polski Związek Niewidomych) i Grzegorz Basarab (Centrum Inicjatyw Obywatelskich).

Spotkania robocze odbywały się w budynku Parlamentu Europejskiego, miały charakter wykładów, po których można było zadawać pytania referującym. Tematyka spotkań obejmowała takie zagadnienia jak: współpraca sieciowa, tworzenie partnerstwa, znaczenie struktury regionalnej w Unii Europejskiej, perspektywy rozwoju regionów i Unii na najbliższe lata, zastosowanie nowoczesnych technologii w przepływie informacji i rozwoju gospodarki. Poruszono

też problemy związane z europejskimi funduszami społecznymi.

Delegacja z województwa pomorskiego uczestniczyła także w wyjątkowym wydarzeniu. Była świadkiem ubrania w strój kaszubski symbolu Brukseli - Manneken Pis.

Uczestnicy nocowali w oddalonym o około 150 km od Brukseli Ośrodku Ma-





cierzy Polskiej „Millenium”, w przepięknej miejscowości Camblain la Tour. Jednym z pierwszych Prezesów Macierzy i twórcą tego ośrodka był dr Rudolf Wilczek, znany i wybitny naukowiec mający związki z Pomorzem. Nazwisko to jest szczególnie bliskie mieszkańcom Luzina, gdyż ojciec Rudolfa - Józef Wilczek był przed wojną leśniczym w tej miejscowości. Ponadto był działaczem społecznym, m.in. założył i był komendantem Związku Strzeleckiego, współorganizował Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży oraz Czytelnie Ludowych. Był także aktywnym działaczem Związku Zachodniego. Ta postawa spowodowała, że w 1939 roku, natychmiast po zajęciu tego terenu przez Niemcy został aresztowany i osadzony w więzieniu w Wejherowie. 11 listopada został rozstrzelany w Piaśnicy i tam spoczywa we wspólnej mogile.

Spółeczeństwo Luzina i leśnicy pamiętają zasługi leśniczego Józefa Wilczka i jego męczeńską śmierć. Jedną z głównych

Rolnego Uniwersytetu im. Jana Kazimierza, a następnie jako jego pracownik naukowy. Tam też w 1931 roku uzyskał stopień doktora nauk przyrodniczych. W 1937 roku brał udział w pierwszej polskiej ekspedycji naukowej na Grenlandię, gdzie prowadził badania fitosocjologiczne tundry.

Jako podporucznik Wojska Polskiego brał udział w kampanii wrześniowej 1939 roku. Został wzięty do niewoli i do końca wojny przebywał w oflagu w Murnau w Niemczech. Po wojnie, pomimo oferty stanowiska profesorskiego na Uniwersytecie Wrocławskim, pozostał na Zachodzie. Związał się z naukowcami belgijskimi, z którymi między innymi badał przyrodę ówczesnego Konga Belgijskiego.

Był zasłużonym działaczem Polonii belgijskiej. Od 1956 roku aż do śmierci był Przewodniczącym Komitetu Centralnego Polskiego Szkolnictwa Dobrowolnego w Belgii. To ten Komitet nabył posiadłość pod Brukselą, w której mieści się teraz



Fot. M. Kapiszka

bliski krewny mojego męża. Dzięki losowi, który przypadkowo zawiódł mnie do miejscowości Comblain la Tour, mogłam być w miejscach, o których opowiadano

# ady w Brukseli

ulic nazwano Jego imieniem, a w 1995 roku przed leśniczówką, w której mieszkał, żył i pracował, odsłonięto pomnik.

Rudolf Wilczek dzieciństwo spędził w Galicji, brał udział w walkach o polski Lwów, w wojnie polsko - bolszewickiej. Potem przyszła młodość na Pomorzu i szkoła średnia w Kartuzach. Następnie powrócił do Lwowa, najpierw jako student Wydziału

Ośrodek Macierzy. Tutaj dzieci polskie przyjeżdżają na wakacje i kolonie. Rudolf Wilczek w 1968 roku przeszedł na emeryturę i odtąd, aż do śmierci w 1984 roku osobiście zarządzał ośrodkiem. W dowód pamięci jedna z dróg w parku został nazwana „Aleją Dr. R. Wilczka”.

Podczas mego pobytu w Camblain la Tour okazało się, że dr Rudolf Wilczek to

w rodzinie. Dane mi było chodzić ścieżkami, po których spacerował Rudolf Wilczek, a także osobiście mogłam się przekonać jak zasłużoną osobą był dla Polonii belgijskiej.

**Magdalena Kapiszka**  
**Stowarzyszenie Inżynierów**  
**i Techników Rolnictwa w Słupsku**





# LUBUŃ - to nie P

*Dziś doktrynalnie, na siłę i ideologicznie wpisuje się obywateli w założenia tzw. interesu osobistego i społecznego, nie interesu narodowego i nie racji*

Poznań na przełomie XVI i XVII wieku liczył około dwadzieścia tysięcy mieszkańców i był czwartym miastem w Polsce po Gdańsku, Krakowie i Lwowie. Prawa miejskie uzyskała lewobrzeżna część miasta w 1253 roku i chyba stąd w mediach mówi się o 750-leciu Poznania. Znany skądinąd Lwów też, w tym roku obchodził 750-lecie istnienia, choć dogrzebałem się tylko zapisów o 1272 roku, od którego Lwów stał się stolicą Księstwa Halicko - Wołyńskiego. Moja wieś Lubuń w gminie Kobylnica, a trafiłem na kilka osób, które o Lubuniu kompletnie nic nie słyszały, obchodzi w 2006 roku, ni mniej ni więcej, jak 725-lecie istnienia i to jest coś. W regionie, Lubuń przebija tylko Główny (1026 r.), Swołowo (1230 r.), Rydzewo (1240 r., dzielnica Słupska) i Gardna Wielka (1266 r.). Lubuń odnotowano w dokumencie księcia gdańskiego Mściwoja II w 1281 roku, ale podobno tej daty nie należy traktować jako początkowej dla istnienia miejscowości, bo ta mogła być założona nawet dwa wieki wcześniej - w 1081 roku. No i co, co nam lubuniakom taki Poznań czy Lwów, najbliższy nam do Główny.

Jak wieś to wieś, piszmy o wsi. Trafiłem na artykuł pt. „Czym jest biznes wiejski?“, czyli jakie interesy można prowadzić w oparciu o to co znajduje się na obszarach wiejskich, na wsi, w tzw. terenie, w miejscowościach daleko od miasta, tam, gdzie „diabeł mówi dobranoc“, zapomnianych przez Boga i ludzi. Tam, gdzie psy d... szczekają, w popegeerowskich relikwach świetności otoczonych bezmiarom pól, często ugorów, lasów i lasków, podłych dróg bitych, sieci dróg i ścieżek polnych, daleko od cywilizacji, choć czasem tuż koło niej.

Artykuł spod ręki Wyższej Szkoły Biznesu Wiejskiego w Warcinie kierunkuje biznesowo szczególnie zainteresowanego na konkretne sfery przedsięwzięć gospodarczych. Adresatem są fachowcy różnych branż, wiedzy i umiejętności, gnuśniejący w swoich wsiach, ci, którzy już prowadzili nieudane interesy i ci, którzy mogą być

*stanu, a wyłącznie aktywności obywatelskiej artykułując zasady, formy i możliwości jej urzeczywistniania niezależnie od tego czy takie są, czy ich*

cennymi pracownikami w różnych kategoriach działalności: w rolnictwie, turystyce, w gastronomii, leśnictwie, w projektowaniu przestrzeni.

WSBW tak kategorie skondensował jak jego służby wypracowały wnioski po niewątpliwych analizach sytuacji na wsi. Zdiagnozowano rynek wiejski dla studentów, nowoczesnie myślących menedżerów – przyszłych pracodawców z wizją.

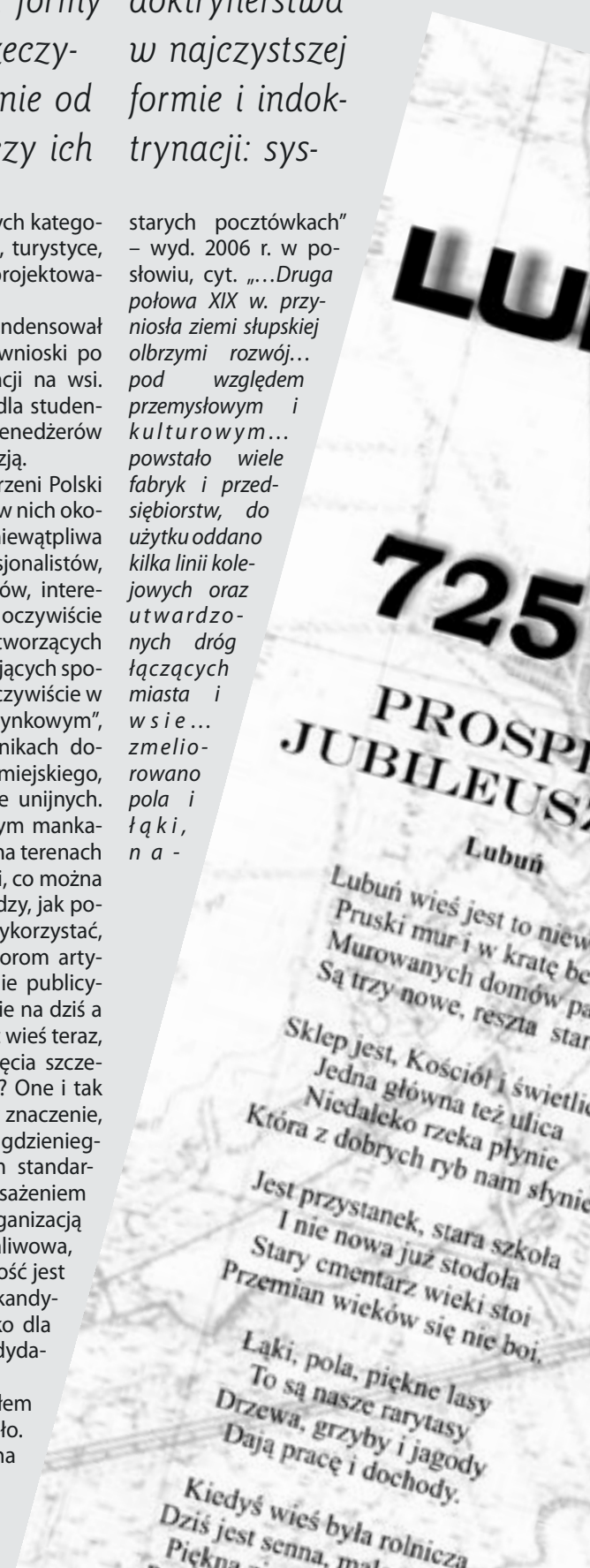
No ładnie, 91 proc. przestrzeni Polski stanowiącej obszar wiejskie, a w nich około osiem milionów ludzi. To niewątpliwa arena dla specjalistów, profesjonalistów, analityków, odważnych wyborów, interesujących dla wsi i miasta ofert, oczywiście konkurencyjnych, opłacalnych, tworzących nowe nawyki, przewartościujących sposób i styl życia na wsi itp. itd. Oczywiście w dbałości i pamięci o „towarzystwo rynkowe“, jakości, marce, promocji, technikach dotarcia do klienta wiejskiego i miejskiego, o środkach własnych i głównie unijnych. Jeśli problemem i podstawowym mankamentem prowadzenia biznesu na terenach wiejskich jest brak świadomości, co można zrobić a jednocześnie brak wiedzy, jak potencjał wiejski najskuteczniej wykorzystać, to powinienem współczuć autorom artykułu, bo ten wypełnił wyłącznie publicystyczny cel: wizję aktywności nie na dziś a za 5, 10 czy 20 lat. A co ma robić wieś teraz, dziś, podejmować przedsięwzięcia szczególne, ale dla ludzi z tzw. kasą? One i tak mają śladowe w gruncie rzeczy znaczenie, bo mogą funkcjonować tylko gdzieś indziej, nie masowo, z typowym standardem nowocześniejszym już wyposażeniem i narzędziami, strukturą i organizacją pracy. Taka konikowa, biopaliwowa, hodowlana, hotelarska działalność jest kosztowna i nie dla wszystkich kandydatów na biznesmenów, a tylko dla dwóch, trzech osób ze wsi, kandydatów do pracy.

Historia, jak fortuna kołem się toczy, raczej zatoczyła koło. Czytam w „Powiat Słupski na

*nie ma. Powiem więcej, obowiązuje nas odbiór doktrynerstwa w najczystszej formie i indoktrynacji: sys-*

starych pocztówkach” – wyd. 2006 r. w posłowiu, cyt. „...Druga połowa XIX w. przyniosła ziemi słupskiej olbrzymi rozwój... pod względem przemysłowym i kulturowym... powstało wiele fabryk i przedsiębiorstw, do użytku oddano kilka linii kolejowych oraz utwardzonych dróg łączących miasta i wsie... zmeliorowano pola i łąki, na -

zadnej dbałości i szacunku do tego, co było świadectwem ludzkiej krzątaniny



# oznań ani Lwów

tematyczne, natarczywe  
wpajanie, z użyciem  
wszelkich środków maso-  
wego przekazu, idei  
ruchli-

wości i aktywności. Tak  
jakby ta nie wymagała  
jasnej i precyzyjnej poli-  
tyki państwa, mechani-  
zmów i systemów wprzę-  
gających wyczekujących

obywateli w rzeczywistość,  
a nie wyimaginowaną  
aktywność. Taką zade-  
monstrują ludzie trakto-  
wani podmiotowo, a nie  
przedmiotowo.

uczono się  
gospo-  
daro-  
wania  
gospo-  
darką le-  
śną... Po-  
łączenie  
kolejowe  
Szczecin –  
Gdańsk w 1870  
r. przysporzyło  
powiatowi na-  
pływ turystów...  
Przedsiębior-  
czy mieszkańcy  
w większości wsi  
otwierali sklepy oraz  
gospody, w których  
można było nie tylko  
dobrze zjeść, ale za-  
trzymać się na noc. W  
większych wsiach funk-  
cjonowały hotele oraz  
domy handlowe... Trwa-  
ła rozbudowa i unowocze-  
śnianie wsi oraz folwarków  
– kryte strzechą szachulco-  
we domy chłopów zastępowali  
nowymi, murowanymi obiek-  
tami, a posiadacze ziemscy  
powiększali pałace i dwory.  
Posiadłości ziemskie cieszyły się  
dużym zainteresowaniem wśród  
zamożnych...”

Tyle z wypisu tylko  
pocztówkowej publikacji, a histo-  
rycy potwierdzają, że na Pomor-  
zu powstawał głównie przemysł  
spożywczy, przetwarzający lokalne  
produkty rolne. Były to bowiem te-  
reny, na których szybko rozwijało się  
rolnictwo. Ziemianie oraz zamożni  
chłopcy intensyfikowali uprawy roli,  
mechanizując część prac i stosując  
sztuczne; wysoki poziom osiągnęła tu  
hodowla. Solidne podstawy takiego rozwoju

stworzyła pruska reforma uwłaszczeniowa,  
a Rzesza Niemiecka, uprzemysławiając się  
i urbanizując w gwałtownym tempie two-  
rzyła wielki rynek zbytu dla producentów  
produktów rolnych. Protekcyjna polityka  
władz chroniła krajowe rolnictwo przed  
zagraniczną konkurencją, co mia-  
ło szczególne znaczenie przy łagodzeniu  
skutków światowego kryzysu agrarnego  
lat 1873 - 1895. Gospodarka rolna nabrała  
zatem charakteru intensywnego i kapita-  
łochłonnego. U progu I wojny światowej  
rolnictwo Pomorza nie odbiegało zbytnio  
poziomem rozwoju od rolnictwa państw  
zachodnich. Uwidocznili się wtedy, że nie  
tyle uprzemysłowienie, ile modernizacja  
rolnictwa określa stan cywilizacji. Granica  
Rzeszy zaczyna oddzielać tereny, które wy-  
raźnie różniły się pod względem cywiliza-  
cyjnym: mieszkańcy zaboru pruskiego byli  
lepiej odżywieni, ubrani oraz bardziej czy-  
ści i wykształceni. W zaborze pruskim na-  
stępstwem uwłaszczenia stało się wzmoc-  
nienie wielkiej i średniej własności – jak się  
okazało, korzystne dla rozwoju rolnictwa.

W/w treści można skwitować boga-  
tym komentarzem o przyczynach i skut-  
kach polityki gospodarczej, która wywo-  
ływała aktywność obywatelską i rozwój  
miejscowości, ale po co? Mojego Lubunia  
na pocztówkach nie ma. A dane charakte-  
rystyczne potwierdzają, że ta typowa dla  
krajobrazu pomorskiego wieś, w terenie  
zalesionym z użytkami rolnymi, w dolinie  
rzeki na wschodnim brzegu Słupi, miała  
swoje „pięć minut”. W 1939 roku na 528  
gospodarstw rolnych, 47 gospodarstw  
chłopskich, w tym 17 o areale znacznie po-  
wyżej 20 ha, funkcjonowała kasa oszczęd-  
nościowo - kredytowa, gospoda, sklepy  
- budowlany i wielobranżowy, kuźnia,  
zakład krawiecki i szewski. Była trójstop-  
niowa z trzema klasami szkoła: nową z po-  
mieszczeniami mieszkalnymi i gospodar-  
czymi oddano do użytku 20.08.1939 roku.  
W folwarcznym majątku stał pałac, obiekty  
mieszkalne i gospodarcze, silosy. Obok wsi

przechodziła linia kolejowa, były zabudo-  
wania dworcowe.

Oceniając chłodnym okiem dziś Lu-  
buń, wieś eksploatowana od 1945 roku  
wygląda tak jak wygląda, skromniutko,  
bidnie. Ze świecą szukać choćby elemen-  
tów dobrze niegdyś rozwiniętego handlu  
i rzemiosła, rolnictwa. Wstydlivym byłoby  
doszukiwać się statystycznych porównań  
dzisiejszej wsi z tą przedwojenną, kusić o  
analizy struktury zasiedlenia, zatrudnienia,  
gospodarowania. Porównywać sklepik,  
kościółek i przystanek PKS, osady z ledwo  
ponad 200 duszami z samowystarczalnym  
siedliskiem dla 500-ki ludzi.

W Lubuniu każdy robi to co udało się  
kiedyś stworzyć i utrzymać na poniemiec-  
kich siedliskach i resztówkach. Jeśli za in-  
frastrukturalny standard uznać asfaltową  
drogę z powiosennymi dziurami klejonymi  
raz, dwa razy do roku, wodociąg lokalny,  
światło, telefony – radiolinie lub przewo-  
dowe, internet komórkowy lub satelitarny,  
to mieszkańcy w tym żyją.

Do roboty jeździ się do Słupska lub  
przedmiejskich okolic, trochę do lasu na  
sezonowe zbiory runa leśnego i pozyska-  
nie drewna na własne potrzeby, obrabia się  
jakieś pola, z sadów i ogródków zbiera to  
co na piaskach wyrośnie, a robak nie zeżre.  
Parę osób pracuje w filii chowu dżdżownic  
kalifornijskich. Planu zagospodarowania  
przestrzennego dla miejscowości i okolic,  
specyficznego z racji usytuowania Lubunia  
w strefie Parku Krajobrazowego rzeki Słupi  
ja jeszcze nie znam i pewnie nikt we wsi, ale  
znamy skomplikowane i nieuporządkowa-  
ne problemy własnościowe wielu rodzin z  
losem sobie nie radzących, a co dopiero z  
tzw. własnością degradującą się z roku na  
rok czy to chata szachulcowa, czy muro-  
wana, stara poniemiecka, historyczna. Tak  
jak domów nowych jest dwa, trzy, remon-  
towanych trochę więcej, tak wyjątkowo za-  
puszczonej infrastruktury wodno - spływo-  
wej, rowów melioracyjnych, przepustów w  
zakłóconych i zmienionych przez eksplo-  
atacyjne ruchy stosunkach wodno - grun-



# Z sadów i ogródków

towych wokół wiele. Droga w etnograficznie określonej wsi jako ulicówka prowadzi w lewo i prawo, do Żelkówka lub do Kwakowa, co wspaniałe, przez lasy. Na przekór wszystkim, nieliczni hodują krowy i gospodarzą na ziemi, udowadniając zasadność otrzymywania unijnych dopłat rolniczych, co wcale nie przeszkadza, by omijał ich nierozwiązywalny kłopot zatrudnienia na przykład pastucha. Są emeryci, renciści, ci spod kurateli GOPS, i porannego piwka, jak wszędzie. W mieście też.

W miejscowym sklepiku można nabyć podstawowe wiktuały, na pewno chleb, mleko i omastę, czasem nawet na zeszyt. Dzieci jeżdżą do szkół w Kwakowie i Kobylnicy wiedząc, że mleko pochodzi od krowy, a nie rodzi się w pudełku. To prostacki dowcip, ale potwierdzenie prawdy, że wiejskie dzieci nie piją mleka od krowy, bo jego sprzedaż przez naszych unijnych producentów za płot do sąsiada jest zakazana, tak jak jego przerób na ser.

Jedna z sąsiadek spekulowała, że wskaźnikowa ocena wsi powinna opierać się o kryterium jej samowystarczalności i możliwości samozagospodarowania wiejskiej produkcji, po sąsiedzku. Mądre, logiczne to, oparte o tradycję, ale nierealne, choćby dlatego, że hodowca krów i producent mleka płaci wysokie, parotysięczne kary za jego nadprodukcję, przekroczenie limitów etc. Jest skutecznie wyleczony z ciągłot na obdarowywanie mlekiem niechcianym skupowo, a statystycznie zwiększającym słupki karne. Mleka od nadgorliwych krów nikt nie chce do ewentualnego zagospodarowania, przyjęcia nieodpłatnie itp., a precedens byłego, dziś bezrobotnego piekarza rozdającego chleb bezdomnym lepiej funkcjonuje niż płacz niedożywionych dzieci z nr..., mniejsza o ten nr i inne, GOPS je zna.

Fachowcy powiedzą, że produkcja hodowlana i mleczarska ma swoje wymogi, stawki, dawki, normy, ilość krów na ha, trzeba się uczyć i dostosowywać itd., itp. I to też jest racja, tyle, że bieda nie wybiera, a zebrany kłós jest darem, który należy szanować, czcić i umiejętnie nim gospodarzyć.

Powie ktoś, to nieprawdopodobne, że Lubuń ma swoje zabytki – sztuk dwanaście, etnograficznie potwierdzone: zespół folwarczny z II połowy XIX w. i początków XX w. z budynkami gospodarczymi, trzy domy pracowników folwarcznych tzw. „czworaki”, dom ogrodnika, dom kowala, dom zarządcy, wozownię, chałupy szachulcowe z połowy XIX w., cmentarz ewangelicki,

szkołę. Tyle, że budynki gospodarcze są w ruinie, a szachulce pokryła jesionka tynkowo - styropianowa. Dobrze, że odkrzaczenie grobów i uporządkowanie połamanych krzyży było opisywane w prasie niemieckiej wywołując stres u organizatora porządku – miejscowego chłopca z zawodówki, przez co dostrzeżono zaniedbane stare, ewangelickie cmentarze. Ludzie nie uświadamiają sobie, że żyją w cieniu historii i tej starej, i tej ostatniej. Kojarzą „poniemieckie”, ale już z wyglądu folwarcznego pałacu czy obiektów stacji kolejowej, rozebranych do cna w czasie budowy powojennej Polski, już z pamięci nie odtworzą.

Jest chichotem historii, paradoksem naszych czasów, wieczne odbudowywanie wsi, miasteczek, siedlisk, potem rozwalanie do komina, fundamentu, bo w którymś momencie historii stare staje się brzydkie i straszne. Żadnej dłałości, żadnej pamięci i szacunku do tego, co było świadectwem ludzkiej krzątania, zapobiegliwości i pieczy, zabiegania. To paradoks czy żalobny śmiech z wspomnienia czegoś, co miało stać, zdobić i służyć, a co już tylko można zobaczyć na historycznej reklamówce: młyn, papiernię, celulozownię, gospodę, hotel, hotelik, cegielnię, brukowaną ulicę, pałac, gorzelnię, dwór, parki i ścieżki pałacowe, zabudowania folwarczne, śluzy, jazy, elektrownie wodne. To smutne, ale oglądając stare pocztówki znajdują tylko świetności w Lubuniu, Żelkówku, Dębnicy Kaszubskiej, Luleminie, Żelkach, do których się nie da bezrefleksyjnie wrócić. Na kartkach pocztowych oglądam bryły domów pałaców, dworów, kościołów gospód i hoteli, architektoniczne style, gusty ludzi, świadectwo potrzeb gospodarczo - społecznych mieszkańców aktywnych..., bo ich siedliska i osady posiadały jedną lub kilka widokówek dla chwały mieszkańców i dumy, pochwalenia się przed obcymi.

Jeśli zamysłem autorów mini przeglądu pocztówkowego wizerunku powiatu ma być zachęta do zwiedzania, odradzania się turystyki to dobrze, choć mało. Jeśli zamysłem artykułu o biznesie wiejskim jest apel o aktywność ludzi na wsi to bardzo mało, powiem, bardzo wielkie nic. Biznesu nie da się kręcić, bo wieś pozapocztówkowa dla biznesu nie jest atrakcyjna. Polski wariant nawiązujący do tworzenia własności prywatnej, gospodarzenia „tam gdzie moje” to nie podstawa, a tylko cegiełka do reformy uwłaszczeniowej, której w Polsce nie było, nie ma i nie będzie. Powtórzę za historykami „...solidne podstawy takiego rozwoju stworzyła pruska reforma uwłaszczeniowa...” w

1823 roku, co wywołało efekty: „...odchodzenie od tradycyjnych metod gospodarowania, wprowadzanie technicznych innowacji oraz rachunku ekonomicznego, zrywano z mocno ugruntowanymi nawykami, zdobywano nowe umiejętności. Ekonomiczna konieczność zmuszała (ziemian) do większej niż w czasach pańszczyźnianych aktywności, jednocześnie wpływała na zwiększenie zainteresowania wymianą informacji, wzajemną pomocą i tworzeniem własnych organizacji...” Wypisz, wymaluj, to hasła i reguły towarzyszące terminom dziś formułowanym, a poddanych regułom wolnego rynku, dla tych, którzy w nim chcą, mogą lub muszą się znaleźć. Należy tu wyeksponować słowo „mogą”. Tyle, jeszcze, że uwłaszczeniu wielkopolskiego i pruskiego chłopstwa towarzyszył termin „praca organiczna”, tzw. organiczne kojarzenie dążeń, konieczność harmonijnego współdziałania różnych sił społecznych i stronnictw, program działań prowadzonych na rzecz sprawy narodowej, ale pozbawionych charakteru politycznego. Warto na koniec wspomnieć, że w tejże historii Pomorza, w Prusach po 1850 roku zbiurokratyzowanym rządowi silnej ręki towarzyszyły działania reformatorskie, mające na celu istotną modernizację państwa, upraszczając sprawę, w ciągłości i z efektami jak na pocztówkowych pamiątkach z lat 30-tych ubiegłego wieku.

By nie być posądzonym o historyczną ślepotę, dodam, że pod rządami Fryderyka Wilhelma IV, pod rządami Prus, Bismarcka, był Kulturkampf, germanizacja, Hakata, były rugi pruskie, komisja kolonizacyjna, wóz Drzymały, dzieci z Wrześni, pogłębiały się podziały międzyzaborowe, zmieniała się struktura społeczna. Wzmoczona od 1870 roku industrializacja wytworzyła nowe klasy społeczne, burżuazję, i proletariąt. Przemysł przyciągał wielki kapitał, dominował niemiecki, żydowski, francuski, włoski, polski też się trafiał. Właściciele fabryk i przedsiębiorstw, ich personel nadzorczy był obcego pochodzenia.

Była migracja ze wsi do miast nawet o charakterze masowym. Robotnicy rolni, także ci z uwłaszczonych licznych rodzin chłopskich o małym i niewystarczającym areale nadanej ziemi, udawali się na roboty sezonowe, na saksy, do Berlina, zachodnich Niemiec, za ocean. Podejmowano stałą emigrację do Stanów Zjednoczonych, Kanady, Brazylii. Od powstania styczniowego do 1914 roku z ziem polskich wyemigrowało 3,5 – 3,7 mln osób, z tego ok. 2,3 mln Polaków. Był miejski plebs, zrujnowani rzemieślnicy, chłopci, zbankrutowana szlachta.

# zbiera się to, co na piaskach wyrośnie

W miastach tworzyło się drobnomieszczaństwo, samodzielni rzemieślnicy, właściciele niewielkich sklepów. Pierwszym zaczynał zagrażać wielki przemysł produkujący taniej i szybciej, drugim natomiast tworzenie nowoczesnych i specjalistycznych magazynów handlowych.

Kulturalnie i politycznie dominowała inteligencja, wykształceni ludzie z mieszczaństwa polskiego, niemieckiego, żydowskiego, niewielka ich liczba pochodzenia chłopskiego. Najmniej liczna była polska inteligencja w zaborze pruskim. Kadra techniczna migrowała do Moskwy, Petersburga, Odessy, Kijowa, Temska i Irkucka na Syberii.

Tyle historii przynajmniej tej dawnej, można by pisać w te i nazad, na odwrotną stronę jakby w historię nie grzebnąć, pozostaje się pod wrażeniem, jakby kiedyś to było dziś. Czy dziś to tak jak to było niegdyś. Uczymy się tej historii czy nie, wyciągamy wnioski z historii? Nie!

Jeśli miarą odnowy, rozwoju i zachęty do aktywności jest gospoda i hotelik z 1939 roku w Lubuniu, to tak długo jak takie nie powstaną „z ręki” sąsiada czy zewnętrznego inwestora, powiem, że lubuńska historia zatrzymała się w 1945 roku.

Jeśli za miarę nowego w Rzeczypospolitej wybrać pałace, które poznałem w Żelkach, dwa w Kończewie, w Zagórkach, nie licząc popałacowych resztek schodowych w Lubuniu czy Żelkówku, to historyczną cezurę datową przesuwam z 1945 roku na datę znalezienia im nowych gospodarzy. Pałace nabyte na własność, nie wiem czy przez snobów, nuworyszy szukających nobilitacji jako symbol ukoronowania sukcesów i nowobogactwa, dla nieruchomościowego handlu czy z powodu miłości do historii i chęci otwarcia się dla mieszkańców jako miejsce pracy, opieki, i dbałości o zabytek. Nawet dla stróża, stajennego, pokojówki, sprzątaczkę, ogrodnika, kucharki, zmywaczki naczyń, praczki, lokaja czy kamerdynera. Podaję jedenaście zawodów nie złośliwie, każdy z tych zdevaluowanych za „komuny” jest dziś podwójnie atrakcyjny na wiejskim rynku, a jednym z najpopularniejszych i realnym wyrobniczo do podjęcia za Odrą, Renem, Elbrą i Tamiżą. W końcu czy to nie wszystko jedno, że pracę nadzorował krzyżak, książę, junkier, dyrektor PGR czy dzisiejszy kandydat na dziedzica. Tu istotą problemu jest jednak nie to czy stary, kubaturowy obiekt będzie służył społeczności lokalnej, czy tylko jego właścicielowi z jego niewiadomymi intencjami zakupowymi, a pytanie, dlaczego zakupiony pałac został tylko częściowo

wyremontowany, częściowo zabezpieczony i ogrodzony betonowym płotem pasującym bardziej do fabryki zbrojeniowej niż do zabytku? Dlaczego na bramach pałaców straszą antaby, łańcuchy, kłódki, i tablica... „teren prywatny, wstęp wzbroniony”? Robót nie prowadzi się. Czy to z powodu braku środków finansowych i sensu dalszego brnięcia w koszty, wątpliwy interes z ideą promieniowania obiektu na okolicę, ba „praca u podstaw” w popegeerowskim środowisku, pracy organicznej?

Wywołuję też kwestię użytkownika i klienta gospody, hoteliku, kto nim ma być, kto w gospodzie czy zajeździe przysiądzie do piwa? Choć, zaraz, zaraz, do zakazu prywatnego uboju zwierząt we własnych opłotkach (a najbliżej w Krępie, pięć kilometrów przez las) dochodzi zakaz picia piwa w sklepie i w jego obrębie.

I mam rozwiązanie, powinien ukazać się ukaz, by kończyć remonty pałaców, by zatrudnić w nich licznych mieszkańców, nakazać należy budowę wiejskich gospód dla wypicia piwa, najlepiej nie za pieniądze a na zeszyt. Nie muszę wyjaśniać, że to tylko niestosowny żart stosowny do stawianego problemu.

**Czesław  
Guit,  
Lubuń**



Dom kowala z kuźnią Nr 15



Wozownia, w ruinie



Domy pracowników folwarcznych  
Budynki mieszkalne Nr 13, 14, 15



Budynek szkolny trzystopniowy z lat 20-tych,  
Świećlica i dom mieszkalny Nr 10, murowany.



Chałupa szachulcowa z poł. XIX w.,  
Budynek mieszkalny, otynkowany, Nr 6.



Dom nauczycieli i szkoła z 1939  
Budynki mieszkalne Nr 9 i 9/3, n  
Budynki mieszkalne Nr 5 i 6 przy



# Zmiany w przepisach skarbowych obciążające inwestora

Podstawową zmianą jest likwidacja opłaty w formie znaków skarbowych. Znaki te po 1 stycznia 2007 roku przestają obowiązywać, tym samym nie będzie prowadzona ich sprzedaż ani wykup. Oznacza to, że nie będzie można ich zwrócić, ani też nie będzie uznane wniesienie opłaty, jeżeli podanie z naklejonymi znakami skarbowymi zostanie złożone po 31 grudnia 2006 roku.

Opłaty skarbowej dokonywać należy w gotówce w kasie lub bezgotówkowo na konto wskazane przez urząd. Dopuszczo-

*1 stycznia br. wejdzie w życie ustawa z dnia 16 listopada 2006 r. o opłacie skarbowej.*

*Wprowadza ona zupełnie nowe rozwiązania dotyczące regulowania opłaty przed uzyskaniem pozwolenia na budowę.*

no możliwość wnoszenia opłat w drodze inkasa, pod warunkiem wyznaczenia przez radę gminy (miasta) inkasentów.

Ustawodawca zlikwidował obowiązek wnoszenia opłaty od podań i załączników do tych podań. Wprowadził natomiast obowiązek wnoszenia opłaty skarbowej za czynności urzędowe z chwilą złożenia wniosku czy dokumentu. Opłaty te dotychczas były pobierane w momencie wydania decyzji.

Opłata skarbową będzie podlegała zwrotowi tylko na wniosek inwestora, gdy nie dokonano czynności urzędowej lub nie wydano zaświadczenia. W procesie inwestycyjnym ustawodawca zlikwidował opłatę administracyjną pobieraną przez gminy za wydanie wyrysów i wypisów z miejscowych planów zagospodarowania przestrzennego i wprowadził w to miejsce opłatę skarbową. Dla zobrazowania zmian zestawiono poniżej stawki opłat skarbowych dotyczące pozwoleń na budowę.

Z opłat skarbowych zwolnione są z mocy ustawy m.in. wszystkie czynności dotyczące nauki, szkolnictwa, oświaty pozaszkolnej i ochrony zdrowia; wszelkie czynności dotyczące budownictwa mieszkaniowego; jednostki budżetowe i jednostki samorządu terytorialnego.

**Opracował: Andrzej Adamski  
Naczelnik Wydziału  
Architektoniczno-Budowlanego**

## **Opłaty skarbowe pobierane od czynności administracji budowlanej od dnia 1.01.2007**

L.p.	Czynność	Wysokość opłaty	Zwolnienia
1.	pełnomocnictwo	17 zł	Rodzice, dzieci, małżonkowie, rodzeństwo - pełnomocnictwo wystawił samorząd lub jednostka budżetowa
2.	Wydanie zaświadczenia	17 zł	
3.	Poświadczenie kopii za zgodność z oryginałem	5 zł za każdą zaczęętą stronę	
4.	Poświadczenie własnoręczności podpisu	9 zł	
5.	Zatwierdzenie projektu budowlanego	47 zł	
6.	Przeniesienie decyzji o pozwoleniu na budowę lub wznowienia robót	90 zł	
7.	Pozwolenie na budowę 1. Obiektu budowlanego wraz z urządzeniami związanymi z obiektem: a) budynku przeznaczonego na działalność gospodarczą inną niż rolnicza i leśna - za 1 m <sup>2</sup> -nie więcej niż b) budynku służącego celom gospodarczym w gospodarstwie rolnym c) innego budynku d) studni oraz urządzeń do usuwania nieczystości stałych i ścieków e) budowli związanych z produkcją rolną f) sieci infrastruktury i dróg (bez zjazdów) g) sieci infrastruktury i dróg o długości do 1 km h) innych budowli i) urządzeń związanych z obiektem budowlanym (przyłącza) 2. Pozwolenia na przebudowę, remont obiektu oraz wznowienie robót	1 zł 539 zł 14 zł 48 zł 20 zł 112 zł 2 143 zł 105 zł 155 zł 91 zł 50% stawek określonych wyżej	1. Pozwolenia na budowę lub remont obiektów zniszczonych wskutek klęsk żywiołowych 2. Pozwolenia na budowę budynków przeznaczonych na cele naukowe socjalne i kulturalne 3. Pozwolenia na budowę i remont obiektów wpisanych do rejestru zabytków
8.	Pozwolenia na rozbiórkę obiektu budowlanego	36 zł	
9.	Inne decyzje	10 zł	Decyzja umarzająca

# Tworzyła się nowa społeczność

dzieje regionu

*Integracja ziem zachodnich i północnych z resztą Polski była istotną sprawą powojennych przeobrażeń. Dzieje kształtowania się życia społeczno-gospodarczego i politycznego na tych ziemiach po 1945 roku ilustrują żywotność narodu polskiego. Przesunięcie granic państwowych poważnie wpłynęło na stosunki ludnościowe i pociągnęło za sobą zmiany w stanie ludności, wpłynęło na nowe jej rozmieszczenie na obszarze kraju i zmianę narodowościowej struktury Polski.*

- Do Słupska przyjechaliśmy transportem z Krasnego Stawu. Razem z naszą rodziną z zamiarem osiedlenia się na tych terenach przyjechało również kilka rodzin, między innymi Prokopczukowie, którzy osiedlili się w Łosinie. Po załatwieniu wszelkich formalności w Państwowym Urzędzie Repatriacyjnym dostaliśmy w ramach rekompensaty za utracone mienie na Wołyniu gospodarstwo w Kobylnicy przy obecnej ulicy Witosa, gdzie mieszkam do dzisiaj. W naszym dawnym domu, tak jak i w innych, mieszkali jeszcze Niemcy. Piętro zajmowały dwie młode Niemki. Niemcy szykowali się do transportu. Wyjechali po dwóch miesiącach od naszego przyjazdu. Pozwolono im zabrać skromny dobytek. Pamiętam, jak mój ojciec odwiózł ich na stację. Większość tych domów była już zajęta przez Polaków. Świadczyły o tym biało - czerwone chorągwie. Nie wszyscy jednak rejestrowali się w Urzędzie Repatriacyjnym. Jedni przyjechali w celu wzbogacenia się niemieckim dobytkiem, drudzy zwlekali z podjęciem decyzji o osadnictwie. Noce były niespokojne. Rosjanie o zmroku rabowali Niemców, dobijali się do domów, zabierając co cenniejsze rzeczy. Polaków nie zaczepiali. Mężczyźni organizowali nocne patrole, pilnując w ten sposób swojego dobytku. Niepokoje ustały z chwilą wyjazdu ostatnich Niemców - takie wspomnienia po latach snuje Czesława Szewczuk z Kobylnicy.

W czerwcu 1945 roku z Bydgoszczy przybył do Kobylnicy wraz z rodzeństwem i rodzicami Janusz Kucharski. Miał wówczas 15 lat i obraz ówczesnej Kobylnicy pozostał mu w pamięci równie dobrze. - Niektórych budynków już nie ma. Spaliły się zaraz po wojnie bądź zostały rozebrane czy też zmieniły swoją funkcję - wspomina.

Nieco później, bo we wrześniu 1945 roku, przyjechał do Kobylnicy Zygmunt Głaszcz, również wraz z rodziną i rodzeństwem. Miał wówczas 14 lat. Podziela zdanie, iż były to czasy niespokojne. Na ziemię odzyskane przyjechali z Polski centralnej zachęceni możliwością przejęcia gospodarki. Ojciec był młynarzem. Marzyło im się przejęcie młyna wraz z gospodarstwem. Chociaż do Kobylnicy przyjechali dopiero we wrześniu, nie zostali wpuszczeni do wsi przez rosyjskich żołnierzy. Doszło do utarczek i pod groźbą użycia broni wraz z innymi przybyszami udali się do Słupska.

Dopiero wsparcie nowo tworzącej się milicji, które przydzielono im w Państwowym Urzędzie Repatriacyjnym, umożliwiło im wejście do Kobylnicy. - Ojciec śmiał się później, że Kobylnicę zdobywano dwa razy: najpierw uczynili to Rosjanie, a później osadnicy. Nie udało im się zająć młyna, zasiedlili więc opuszczone gospodarstwo, w którym z niemieckiego majątku nie zostało nic, gdyż wcześniej zajęli się nim szabrownicy - wspominał później Z. Głaszcz.

Powszechnemu na tym terenie szabrowi miała przeciwdziałać milicja, ale w pierwszych powojennych miesiącach dopiero ją organizowano, a poza tym zdarzało się, że trafiali do niej zdemobilizowani wojskowi sami dążący do łatwego zysku. Równocześnie występowały przypadki, iż w gminach zjawiali się cywile i wojskowi, którzy na podstawie różnych dokumentów i zezwoleń zabierali osiedleńcom cenniejsze przedmioty i urządzenia domowe, a nawet odzież i żywność.

W październiku 1945 roku Referat Osiedleńczy Biura Pełnomocnika Rządu Rzeczypospolitej Polskiej w Słupsku nakazał gminnym zarządom składanie regularnych sprawozdań z przebiegu akcji osiedleńczej. W sprawozdaniu z 18 marca 1946 roku wójt gminy Łosino informował, że bezpieczeństwo na jego terenie się poprawiło, a banda, na której czele stał obywatel polski pochodzenia ukraińskiego, została trzy tygodnie wcześniej zlikwidowana przez Urząd Bezpieczeństwa. Skarżył się jedynie na pojedyncze napady dokonywane przez Polaków i Rosjan oraz na niechętną osadnikom ludność niemiecką. Pisał też, że polska społeczność na terenie gminy Łosino żyła i pracowała w niezwykle trudnych warunkach egzystencjalnych, co spowodowane było brakiem żywego inwentarza i żywności.

W masie ludności przewalającej się przez ziemię odzyskane odnajdywano polskie dzieci, oddawane wcześniej na wychowanie Niemcom. Na przykład w ówczesnej gminie Żelki przy sporządzaniu ankiet dla Niemców natrafiono na siedemnastoletnią dziewczynę, która oświadczyła, że jest Polką, a znalazła się na tym terenie dlatego, że w 1939 roku została wywieziona z siedemnaściorgiem dzieci z ochronki w Łodzi i wraz z nimi oddana rodzinom niemieckim. Analogicznych przypadków musiało być więcej, gdyż Ministerstwo Ziemi Odzyskanych





– Departament Osiedleniowy, pismem z 8 sierpnia 1946 roku, opatrzonym klauzulą „tajne – pilne”, zawiadamiło Urząd Wojewódzki w Szczecinie, że na ziemiach odzyskanych przebywają polskie dzieci wywiezione przez Niemców i oddane tamtejszym rodzinom na wychowanie. Polecono równocześnie, aby żądać od Niemców opuszczających granice Polski okazywania metryk urodzenia lub innych dokumentów stwierdzających pochodzenie wywożonych dzieci. W razie wątpliwości lub wykrzyka, że dziecko ma polskie pochodzenie, nakazywano wyłączenie go z transportu i przekazanie kuratorium oświaty, a jeśli nie ukończyło trzech lat, opiece społecznej. O każdym takim przypadku należało ponadto zawiadamić Wydział Osiedleniowy Urzędu Wojewódzkiego.

Poza osadnikami z różnych stron powojenną ludność Pomorza tworzyła oczywiście słowiańska ludność rodzima, mianowicie Kaszubi zwani wówczas autochtonami, a także rozproszone po całym regionie osoby wywodzące się głównie z polskiej emigracji zarobkowej. Ludność ta, niezbyt liczna, odegrała niewielką rolę w tworzeniu nowej społeczności tych ziem. Oficjalnie i propagandowo uznana przez władze za „żywy pomnik historyczny” polskości i słowiańskości, w rzeczywistości nie miała łatwego losu. Tuż po wojnie władze centralne, podległe im władze na szczeblu lokalnym, w tym powiatowe w Słupsku, najchętniej pozbywały się autochtonów, wysyłając ich do Niemiec. Ci, którzy pozostali, odczuwali niechęć ze strony nie tylko władz, ale i osadników. Właściwie wszystkie

pozostałe grupy ludność autochtoniczną traktowały niemal wrogo. Jedynym pomostem łączącym tubylców pochodzenia słowiańskiego z matczyną stał się ostatecznie Kościół katolicki. Władze narzuciły ludności rodzimej kryteria określania przynależności narodowej. Nie wystarczyło samookreślenie się. Nadanie polskiego obywatelstwa, regulowane aktami prawnymi z kwietnia 1946 roku, musiało być poprzedzone urzędową weryfikacją, czyli udowodnieniem narodowości polskiej.

Akcję repolonizacyjną i rehabilitacyjną prowadzono w urzędzie pełnomocnika rządu. Dotyczyła ona właśnie obywateli niemieckich narodowości polskiej, których około kilkudziesięciu tylko z terenu samych Mazur znajdowało się w powiecie słupskim. W czasie wojny, chcąc uniknąć represji ze strony władz hitlerowskich, zapisywali się na tak zwaną Volkslistę, a następnie byli zakwalifikowani do jednej z czterech kategorii, określonej zarządzeniem władz niemieckich z 4 marca 1941 roku. Do pierwszej należeli obywatele polscy niemieckiego pochodzenia, którzy przed wojną aktywnie demonstrowali swoją niemieckość, na przykład należeli do niemieckich organizacji politycznych, bywali wyłączeni w kręgach niemieckich bądź wysyłali swoje dzieci do szkół niemieckich. Do kategorii drugiej należeli ci, którzy mogli udowodnić swoją niemiecką tożsamość narodową. Grupa trzecia obejmowała osoby niemieckiego pochodzenia, które z biegiem czasu ściślej związały się z Polakami. Wpisywano do niej także osoby innej narodowości, pozostające w związkach małżeńskich z Niemcami, jak również te, których przynależności narodowej nie można było jednoznacznie określić. Znalazły się tu także grupy ludności mówiące w domu językiem słowiańskim, ale w sensie rasowym i kulturowym skłaniające się ku niemieckości, nawet, jeśli nie zgłosiły swojej przynależności do narodowości niemieckiej przed 1 września 1939 roku. Do grupy ostatniej zaszeregowano osoby pochodzenia niemieckiego oraz przeznaczone do regermanizacji.

Dekretem władz polskich z 28 lutego 1945 roku oraz ustawą z 6 maja 1945 roku wykluczono „wrogie elementy” ze społeczności polskiej, ale zagwarantowano wszystkim obywatelom, którzy należeli do trzeciej lub czwartej kategorii, pełne prawa obywatelskie pod warunkiem, że udowodnią wymuszenie na nich zapisu na Volkslistę. Osoby należące do drugiej kategorii mogły występować z wnioskiem o rehabilitację, o ile wpisując się na Volkslistę działały pod naciskiem i groźbą represji. Przez cały 1945 oraz 1946 rok w sprawozdaniach pełnomocnika rządu podawano statystyki dotyczące spraw repolonizacyjnych. Załatwiano ich od 15 do 30 miesięcznie; rehabilitacyjnych od jednej do dwóch w skali miesiąca. Repolonizację i rehabilitację przeprowadzano na wniosek zainteresowanych osób, nie starano się skutecznie oddziaływać na zorganizowaną ludność autochtoniczną. Początkowe traktowanie jako niemieckiej doprowadziło właśnie do kierowania jej na wyjazd do Niemiec lub przydzielania do gospodarstw osadnikom polskim.

Weryfikacja ludności autochtonicznej nie było prosta. Część zachowała pełne poczucie przynależności do narodu polskiego, jawnie manifestując swą polskość, inni jednak w wyniku długotrwałych nacisków germanizacyjnych ulegli znacznemu wynarodowieniu. Należało więc przede wszystkim ustalić odpowiednie kryteria weryfikacji oraz wypracować sposoby jej przeprowadzenia wśród miejscowej ludności, a także znaleźć tych, którzy zasługiwali na zakwalifikowanie do narodowości polskiej. Do końca lipca 1946 roku zrehabilitowano w powiecie słupskim 29 autochtonów.

W 1947 roku w ramach akcji Wisła, zwanej potocznie akcją „W”, z południowo-wschodnich regionów Polski przesiedlono na ziemie zachodnie i północne prawie 150 tysięcy Ukraińców; część z nich trafiła na ziemię słupską. Akcja ta miała na celu likwidację oddziałów Ukraińskiej Powstańczej Armii, ale przede wszystkim rozwiązanie problemu ukraińskiego w Polsce poprzez polonizację ludności ukraińskiej. Polskie władze komunistyczne zamierzały to osiągnąć poprzez rozproszenie rodzin ukraińskich niemal po całym zachodnich i północnych, a także stosowanie dodatkowych form represji. Należały do nich zakazy zmiany przydzielonego miejsca osiedlenia i organizowania własnego życia narodowego, kulturalnego i religijnego, zwłaszcza greckokatolickiego, oraz zastraszanie Ukraińców przez poddawanie ich stałemu nadzorowi organów bezpieczeństwa. Poza tym nastawiano do nich wrogo polskie otoczenie.

Zynnikiem utrudniającym integrację różnych grup ludnościowych było powszechne poczucie tymczasowości granic. Lęk przed powrotem Niemców nasilił się w 1946 roku – każda wiadomość o konfliktach między aliantami czy o kwestionowaniu granic powodowała ucieczkę wielu osadników. Inni, zwłaszcza przesiedleńcy zza Buga, żyli tak, jakby w każdej chwili mieli opuścić to miejsce. Nie szukali lepszych gospodarstw, nie dbali o te, które zasiedlili, mając świeżo w pamięci wysiedlenia z Kresów Wschodnich. Dopuszczali możliwość ponownej deportacji. Niepewność ta powracała co kilka lat.

Eugeniusz Wiązowski  
Kobylnica

# Jubileusz

## *Kresowiaków*

Towarzystwo Przyjaciół Wilna i Grodna miesiąc listopad 2006 roku ogłosiło okresem nostalgicznych wspomnień, organizując kilka ważnych imprez i uroczystości. Prezydent Słupska, Maciej Kobylński z sympatią pochylił się nad prośbą Kresowiaków i w Parku im. Jerzego Waldorffa, pod obelisk przyznał godne miejsce. Uroczystość otrzymała staranną oprawę artystyczną. Pieśni partyzanckie i legionowe śpiewał chór Związku Nauczycielstwa Polskiego a marsze wspaniale grała prezentująca się w historycznych strojach Orkiestra „Reduta”. Mimo nie najlepszej pogody (wiatr i siąpiący deszcz) na uroczystość przybyło ponad sześciuset mieszkańców Słupska, ale również Ustki, Lęborka, Koszalina. Dotarły delegacje zaprzyjaźnionych stowarzyszeń kresowych z Torunia, Poznania i Olsztyna. Kiedy orkiestra zagrała Mazurka Dąbrowskiego, w oczach wielu, zwłaszcza starszych osób, popłynęły łzy wzruszenia...

Wielkie wrażenie sprawia swoją sylwetką posadowiony na cokole 18 - tonowy obelisk, przepasany biało - czerwona szarfą, otoczony kwiatami. Prezes Towarzystwa Przyjaciół Wilna i Grodna - Marian Boratyński, rodowity wilnianin, przywo-

łuje z pamięci losy wygnańców od Wilna i Grodna, przez Wołyń, Polesie po Lwów i Stanisławów: - Sześćdziesiąt lat temu nasi ojcowie z wieloma spośród nas przyjechali do Słupska i innych miejscowości na Pomorzu. Wygnani z ziemi rodzinnej, z Polski im odebranej, do Polski nieznanej. Wielu utraciło dorobek całego życia, bo trzeba było uciekać z domu rodzinnego i wszystko zostawić. Trzeba było ratować życie, bo alternatywą była Syberia. Sybiracy drogę mieli później jeszcze dłuższą. Wrócili z łagrów, z odległej Workuty, przez kilka radzieckich republik z Azją włącznie.

Odsłonięcia pamiątkowej tablicy dokonał prezydent Słupska Maciej Kobylński w towarzystwie grodnianki, Danuty Gradzińskiej i sybiraczki, Barbary Dolaty. W górnej części tablicy znajduje się pięknie wykonany wizerunek Matki Bożej Ostrobramskiej, a pod nim napis: „W HOŁDZIE KRESOWIAKOM OD WILNA PO LWÓW, KTÓRZY W SŁUPSKU ZNALEŻLI SWÓJ DRUGI DOM A WIELU TAKŻE KRES OSTATECZNY. SPOŁECZEŃSTWO MIASTA SŁUPSKA 2006.”

Poświęcenia tablicy dokonał ks. biskup Kazimierz Nycz - ordynariusz Diecezji Koszalińsko - Kołobrzeszkiej. Po-

*Sobota, 4 listopada 2006 roku z całą pewnością przejdzie do historii grodu nad Słupią. Sześćdziesiąt lat temu wygnańcy z byłych polskich Kresów Wschodnich: od Wilna po Lwów, osiedlili się w Słupsku, na ziemi słupskiej i w całym regionie.*





gratulował słupszczanom podniosłej uroczystości. Następnie na obelisku złożono wiązanki kwiatów, zapalono wiele zniczy. Do tablicy podchodziło wiele osób, bo pragnęły z bliska odczytać wyryte na niej słowa. Jeszcze przez wiele minut śpiewał

stem dumna z naszego pięknego obelisku i umieszczonej na nim tablicy. To trwały ślad i pamięć o nas.

Na marginesie tej uroczystości, warto przypomnieć, że jedną trzecią mieszkańców Słupska stanowią osiedleńcy z byłych



chór i grała orkiestrą, a ludzie trwali w zamysleniu...

Tuż po uroczystości powiedzieli:

Paweł Panasiuk, ur. w Amielianiszkach, pow. Braślaw przyjechał z Ustki: - Jestem bardzo wzruszony, ale i bardzo szczęśliwy. Mamy wreszcie trwały dowód naszego zamieszkania na ziemi słupskiej. Nawet jak nas tu już nie będzie, ten kamień i ta tablica będą świadectwem naszego tutaj bytowania.

Lucyna Rejmanowska: - Urodziłam się w Wilnie, mieszkam w Toruniu. Na uroczystość przyjechałam, bo jestem członkiem słupskiego stowarzyszenia. To wielka uroczystość i wydarzenie na miarę historii. Całym sercem jestem związana ze Słupskiem, tutaj spoczywają moi rodzice, tutaj mieszkają siostra.

Gracjan Żabko - mieszkaniec Słupska, urodzony w Lidzie: - Wszyscy jesteśmy pod wielkim wrażeniem niezwyklej uroczystości. Piękną klamrą zamyka nasze słupskie sześćdziesiąt lat. Jestem niezwykle wdzięczny ks. biskupowi Kazimierzowi Nyczowi, że przybył do nas, aby osobiście dokonać aktu poświęcenia tablicy i obelisku.

Halina Bogdanowicz, rodowita wilnianka przez trzydzieści dwa lata mieszkała w Kalifornii. Ostatnio na stałe powróciła do Polski i mieszka w Słupsku: - To jeden z najważniejszych dni w moim życiu. Je-

polskich Kresów Wschodnich. Wprawdzie wielu odeszło, ale jest ich jeszcze sporo. Z kresowej krwi urodziły się dzieci. Na świat przyszyli wnuki i prawnuki. Słupska Rodzina Kresowiaków jest liczna. To właśnie ci najmłodszy powinni przejąć i otoczyć opieką słupski Pomnik Historii Ich Ojców.

Przy okazji warto odnotować trzy inne wydarzenia związane z jubileuszem słupskich Kresowiaków: 16 listopada 2006 roku w kościele św. Jacka w Słupsku odbyła się uroczysta msza święta ku czci Matki Bożej Ostrobramskiej. Celebrował ją ks. prałat Jan Giriatiowicz (urodzony na Wileńszczyźnie!). Grał i śpiewał Młodzieżowy Zespół Muzyki Dawnej Państwowej Szkoły Muzycznej w Słupsku oraz Chór Akademii Pomorskiej pod dyrekcją dr Beaty Wróblewskiej. Pod koniec listopada sto dwadzieścia osób bawiło się na tradycyjnej Biesiadzie Andrzejkowej Kresowiaków. Były liczne konkursy i wspaniała, zabawa

28 listopada w Sali Filharmonii dwukrotnie wystąpił solista Kapeli Wileńskiej Jerzy Gasniewicz. Towarzyszyli mu Janusz Muraszko - fortepian i Jan Biernacki - skrzypce. W pierwszej części bardzo udanego recitalu artysta przypomniał słynne romanse Aleksandra Wertyńskiego, później (z licznymi bisami) śpiewał największe pieśni i piosenki o Wilnie i Lwowie.

**Jan Romański**  
**Słupsk**

**12** listopada odbyły się wybory do rad gmin, miast, powiatów i samorządu wojewódzkiego.

**14** listopada wyłoniono laureatów Powiatowego Konkursu Plastycznego „Wybierz Zdrowie”.

**22** listopada odbyła się pierwsza w drugiej kadencji samorządu Sesja Rady Powiatu Słupskiego. Wybrano nowego przewodniczącego, którym został Ryszard Stus.

**7** grudnia odbyła się druga Sesja Rady Powiatu, na której wybrano nowego starostę słupskiego - Sławomira Ziemianowicza.

**13** grudnia na spotkaniu kadry kierowniczej urzędów pracy z województwa pomorskiego omawiano działania dotyczące rynku pracy i sytuacji zatrudnieniowej w regionie.

**15** grudnia w Zespole Szkół Agrotechnicznych w Słupsku zorganizowano IV Miejsko-Powiatową Olimpiadę Wiedzy o AIDS. Uczestniczyło w niej blisko 50 uczniów ze szkół ponadgimnazjalnych Słupska i powiatu słupskiego.

**16** grudnia odbyła się uroczysta Gala Wolontariatu; wolontariusze z miasta Słupska i powiatu słupskiego zaprezentowali swoją bogatą działalność.

**19** grudnia Pomorska Izba Rolnicza zorganizowała konferencję podsumowującą swoje działania na rzecz wdrożenia Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich w powiecie słupskim.

# Kościół Zamkowy św. Jacka

Niestety kościoła tego – prawie nie da się korzystnie sportretować od zewnątrz. Obok widoków zalecanych w przeszłości – z południowo-zachodniego krańca dawnego Ogrodu Różanego (dziś jest to Park im. J. Waldorffa z pomnikiem K. Szymanowskiego, między ulicami W. Jagiełły i Jana Pawła II) i z miejsca, w którym skręca się z dzisiejszej ulicy Zamkowej ku murom obronnym w południowej części miasta – można polecić jeszcze co najmniej dwa inne widoki: jeden spod Zamku, wielokrotnie i udanie wykorzystywany przez fotografów, a także drugi, z przeciwnego brzegu rzeki zwanej dziś Słupią.

Wieża tego kościoła, ośmioboczna i nadzwyczaj smukła, przypomina igłę lub ołówek i dominuje nad bryłą, obserwowaną z wymienionych miejsc. Zanim szczegółowo opowiemy o tej budowli – przedstawimy kilka ważnych dat z jej historii.

W 1278 roku książę Mestwin II podarował dominikanom z ówczesnego Gdańska plac (położony wewnątrz, przy południowo-wschodnim krańcu murów miejskich dawnego Stolpu) pod budowę klasztoru męskiego. W latach trzydziestych ubiegłego wieku świadczyły o tym takie nazwy, jak Podwórzec Klasztorny czy ulica Mnichów. Przy klasztorze zbudowano też zapewne i kościół – z muru pruskiego, to jest w stylu, w jakim budowano wówczas takie obiekty w tej okolicy. Kościół nie przetrwał któregoś z licznych pożarów, jakie pustoszyły miasto w przeszłości, i w końcu XV wieku wybudowano w tym miejscu nową, tym razem już ceglana świątynię. W ciągu kolejnego stulecia kościół (wraz z klasztorem) padał wielokrotnie łupem grabieżców, a podczas sławnych zająć w okresie Reformacji został całkowicie ogołocony. Przestał pełnić funkcje Domu Bożego i przez lata stał opuszczony; około roku 1600 przypominał groźącą zawaleniem ruinę. Mieszkająca wówczas w miejscowym Zamku Księżna Erdmut – wdowa po Księżu Janie Fryderyku – poleciła kościół odbudować i konsekrować pod wezwaniem (na pamiątkę swego zmarłego małżonka) Św. Jana. Nastąpiło to 24 czerwca (w dzień Św. Jana) 1602 roku. Kolejna znaczna renowacja i ponowna konsekracja świątyni nastąpiły w roku 1875.

Ośmioboczna wieża zachodnia spoczywa na czworokątnej podstawie w taki sposób, iż żadna ze ścian jej korpusu nie

jest równoległa do boku podstawy. Zwiększenie jej stanowi barokowy hełm z tak zwaną „latarnią” i wyjątkowo smukłą iglicą. Sama budowla jest dziś jednonawowa i na zewnątrz pozbawiona ozdób; rytm nadają jej sylwecie jedynie przypory i trzyczęściowe okna. Chór zamknięty jest prostą i gładką ścianą. Nad ową ścianą z jednym szerokim, pięcioczęściowym oknem, w większej części przysłoniętą przez budynek zamkowego młyna, wznosi się szczyt północno-wschodni, stanowiący specjalną, ale i jedyną ozdobę bryły. Widać go dobrze z



W ciągu kolejnego stulecia kościół (wraz z klasztorem) padał wielokrotnie łupem grabieżców, a podczas sławnych zająć w okresie Reformacji został całkowicie ogołocony. Przestał pełnić funkcje Domu Bożego i przez lata stał opuszczony; około roku 1600 przypominał groźącą zawaleniem ruinę. Mieszkająca wówczas w miejscowym Zamku Księżna Erdmut – wdowa po Księżu Janie Fryderyku – poleciła kościół odbudować i konsekrować pod wezwaniem (na pamiątkę swego zmarłego małżonka) Św. Jana.



podwórza starego młyna. W odróżnieniu od Kościoła Mariackiego – Zamkowy nie jest dokładnie zorientowany geograficznie; oś jego symetrii przebiega w linii południowy zachód - północny wschód. Okrągłe otwory w szczycie przypominają ozdoby Ratuszów w Lubece i Stralsundzie. Wieżyczka po stronie południowo - wschodniej nie ma hełmu i właściwie w ogóle nie przypomina wieży. Po stronie północnej kościoła można rozpoznać elementy, świadczące o niedawnym istnieniu nawy bocznej.

Jest to świątynia siedmioprzęsłowa. Istniejący stosunek długości do szerokości kościoła był cechą korzystną z punktu widzenia katolików, w których Msza Święta była i jest uctwą dla wzroku. U ewangelików jednakowoż główną rolę we Mszy odgrywało głoszone Słowo Boże, więc nie wykorzystywali oni całej długości nawy. Podczas odbudowy w 1602 roku cztery wschodnie przęsła oddzielono ścianą. Dla wyrównania powstałej w ten sposób straty przestrzeni wbudowano później w tę stosunkowo wąską nawę dwie szerokie, umieszczone jedna nad drugą emporie, wskutek czego znacznie ucierpiał wyraz artystyczny całości. Było to rozwiązanie wymuszone, bowiem duchowny ewangelicki powinien był przemawiać do wiernych zgromadzonych ściśle wokół niego. Oczom nie miał on nic do zaoferowania. Kruchta, powstała w zachodniej części świątyni, wykorzystywana była m. in. w przygotowaniach kandydatów do bierzmowania. Stąd też wchodziło się schodami na emporie, przez co można było zaoszczędzić przestrzeni w części wschodniej. Do wnętrza właściwej nawy prowadzą stąd niepozorne, wąziutkie drzwi. Prosty na zewnątrz, kościół również we wnętrzu pozbawiony jest niemal całkowicie wszelkich ozdób i posiada zwyczajne sklepienie gwiaździste.

Tym cenniejsze są barokowe elementy wyposażenia wnętrza Kościoła, pochodzące prawie wyłącznie z siedemnastego wieku. Elementy starsze (a więc i cenniejsze z punktu widzenia historyka sztuki) pochodzące z pierwszych lat istnienia świątyni – padły pastwą ognia, złodziei i przeróżnych kataklizmów. Odpowiednie wyposażenie ogołoconej ze sprzętów świątyni wydawało się fundatorce i jej następcom zadaniem na ich miarę. Księżna Erdmut ufundowała w 1602 roku ołtarz i ambonę. Ołtarz ten jest ozdobiony barokowymi rzeźbami i odpowiednim zestawem obrazów. Na głównym obrazie widzimy fundatorkę i jej męża, klęczących pod krzyżem i pogrążonych w modlitwie. Ptak u szczytu jest zapewne gołębiem, więc gdy popatrzymy przez okno w ścianie szczytowej na oko na drugiej ścianie, jak na oko Boga Ojca – to otrzymamy obraz Przenajświętszej Trójcy. Filar podpierający ambonę ma postać brodatego mężczyzny. Balustradę ambony zdobią portrety Ewangelistów, zaś balustrada schodków ozdobiona jest por-

tretami Apostołów. Zadaszenie jest bogato ozdobione rzeźbami. Organy świątyni – dar Księcia Ernesta Bogusława – są młodsze od ołtarza i ambony o około osiemdziesiąt lat, mają wysoki, bogato zdobiony złoceny rzeźbami prospekt, za którym kryje się właściwy mechanizm instrumentu. Na balustradzie emporie organowej znajduje się mała, bogato zdobiona rzeźbionymi ornamentami i figurami imitacja prospektu organowego.

Cenniejsze od tych wszystkich elementów wyposażenia, które przecież można w tej lub innej formie znaleźć we wszystkich kościołach – są dwa marmurowe epitafia, rozmieszczone po obu stronach ołtarza na obu wzdłużnych ścianach nawy (tj. północno - zachodniej i południowo - wschodniej). Linia męska rodu Gryfitów wygasła, jak wiadomo, w momencie śmierci Bogusława XIV w 1637 roku. Jego siostra, Księżna Anna nazywała się po mężu – belgijskim księciu – de Croy en Arschot. Oboje małżonkowie mieli syna, Księcia Ernesta Bogusława, który zmarł w roku 1684 – w dwadzieścia cztery lata po swej matce. W 1682 roku, na dwa lata przed swą śmiercią Książę ten polecił przygotować jego zmarłej matce i sobie samemu dwa epitafia, które miałyby zostać umieszczone nad miejscami spoczynku obojga Księstwa pochowanych pod podłogą świątyni. Oba te dzieła dotrwały do naszych czasów w swojej oryginalnej formie. Doktor F. Kugler w swojej „Historii kultury pomorskiej” z 1840 roku tak pisał o epitafium Księcia Ernesta Bogusława:

„Nazwisko twórcy tychże epitafiów nie zachowało się ani w pomorskich archiwach, ani też na samych dziełach. Piękne ozdoby pulpitu modlitewnego przypominały mi jako żywo wielkiego Andreasa Schluetera. Być może nie posuwam się tu zbyt daleko w przypuszczeniach, iż dzieła te pochodzą z okresu jego młodości i mają związek z pracami jego nauczyciela Sapoviusa. Bliskość Danziga, w którym mieszkał ten ostatni czyni całkiem prawdopodobnym przypuszczenie, iż Książę Ernest Bogusław właśnie do niego zwrócił się o wykonanie wspomnianych epitafiów.”

Ktokolwiek jednak nie byłby twórcą obu dzieł – mamy przed sobą obiekty wielkiej wartości artystycznej, godne pielęgnacji z naszej strony. Książę, ze wrokiem skierowanym ku górze i wzniesionymi w geście modlitwy ramionami, siedzi w swoim stroju paradnym, złożonym z płaszcza i półpancerza, przy modlitewnym pulpicie, bogato ozdobionym arabeskami i piękną główką dziecięcą. Różnica między tą anielską główką oraz głowami dzikich, którzy utrzymują całą tę konstrukcję na swoich barkach – wskazuje wyraźnie, iż nad dziełem tym pracowało dwóch artystów o różnym poziomie mistrzostwa. Postacie mężczyzn utrzymujących całość, dzierżąc w rękach drewniane maczugi, a o ich kolana

opierają się tarcze, z których prawa ozdobiona jest herbem Pomorza z gryfem. Na wysokim gzymsie znajdują się dwa wazon, a w środku – książęcy herb de Croyów. Podobnie jak napisy z epitafium Księżnej Anny, tak i te z epitafium Księcia zaopatrzone były w niemieckie tłumaczenia na oddzielnych tabliczkach. Całe epitafium znajduje się za ozdobną, kutą, żelazną kratą. Epitafium to spoczywa na równi z podłogą, zaś drugie, poświęcone Księżnej Annie, umieszczone zostało na ścianie nieco ponad nią. Ono również składa się z elementów architektury, wykonanych z czarnego marmuru oraz figury z marmuru białego. U góry przedstawiono Księżną siedzącą na krześle i trzymającą w lewej ręce książkę, zaś prawą ręką rozdającą pieniądze (jest to symbol miłosierdzia dla ubogich). Ona sama przedstawia Miłość, podczas gdy Wiara i Nadzieja siedzą odpowiednio po prawej i lewej jej stronie. U dołu wielkiej tablicy umieszczono postać zmarłej Księżnej Anny w nietypowej pozie – z twarzą, zwróconą w stronę wnętrza świątyni i z głową na poduszce. Również tu – tym razem na obrazach po obu stronach tablicy z tekstem – przedstawiono książęcą parę w pełni młodości. Sam Książę Ernest de Croy en Arschot zmarł wskutek choroby w 1620 roku, podczas jednej z wojen nad Renem, ledwie po roku małżeństwa. Wdowa po nim, Księżna Anna, mieszkała najpierw w dzisiejszym Szczecinie, swoich dni dożyła jednak na zamku w Słupsku. Zwłoki jej i jej syna spoczywają w Kościele Zamkowym, pochowane pod podłogą przed ołtarzem. W roku 2006 epitafium to zostało poddane gruntownej renowacji.

Mosiężna chrzcielnica z siedemnastego wieku, stoi na nowej, kamiennej podstawie z płaskorzeźbą wyobrażającą Grzech Pierworodny. Na ścianach znajdują się, w ramach za szkłem, wyhaftowane złotem, srebrem i kolorowymi nićmi na niegdyś białym atłasie herby rodów szlacheckich, książęcych i elektorskich z Pomorza, Saksonii, Brandenburgii i Brunszwiku - Lueneburga. Są to dobrze zachowane, cenne dzieła sztuki, niosące „...niepowtarzalną radość miłośnikom dawnych osobliwości”.

Jak zatem widać – Kościół Zamkowy jest cennym pomnikiem historii, zarówno Stolpu jak i Słupska, pamiątką po dawno wygasłym, książęcym rodzie Gryfitów. Przedstawiciele książęcego rodu Croyów żyli w Niemczech jeszcze w latach trzydziestych ubiegłego wieku. Boczna linia tego rodu miała swoje włości również w dawnym powiecie słupskim – były to majątki m.in. w dzisiejszym Duninowie oraz kilka mniejszych posiadłości.

**Wojciech M. Wachniewski**  
**Słupsk**

(Na podstawie fragmentu „Przewodnika po Stolpie i okolicach” z 1926 roku.)